Bezpłatny dodatek do nr 209. „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 31 Kraków, niedziela, dnia 1 sierpnia 1937 r. Rok II

Prof. dr J. KOSTRZEWSKI

Prehistoryk niemiecki o kulturze polskiej na Śląsku w zaraniu dziejów

Ukazała się niedawno we Wrocławiu książka młodego prehistoryka śląskiego, dra Henryka Kurtza, poświęcona wykopaliskom słowiańskim, pt.: „Slavische Bodenfunde in Schlesien“, wydana nakładem księgarni Priebatscha jako piąty zeszyt pism wrocławskiego „Osteuropa-Institut“. Książka traktuje o znaleziskach polskich okresu wczesnohistorycznego, bo ludem słowiańskim mieszkającym w zaraniu dziejów na Śląsku, byli — jak wiadomo — Polacy. Słusznie też niemiecki prehistoryk Oskar Mertins nazwał swego czasu w swej prehistori Śląska (Wegweiser durch die Urgeschichte Schlesiens) ten ostatni okres pradziejów wprost okresem polskim, ale to było dawno temu, w r. 1906; dziś bowiem, w okresie t. zw. „odprężenia“ polsko-niemieckiego prehistorycy niemieccy chętnie ten niemiły dla nich fakt dyplomatycznie przemilczają, operując nazwą kultury słowiańskiej, albo też — co już jest zgoła niepoważnym — próbują przekonywać czytelników, że na Śląsku mieszkali w zaraniu dziejów nie Polacy, lecz jacyś bliżej nieokreśleni Lechici. Pomijając jednak kwestię tytułu książki samo ukazanie się jej powitać należy z uznaniem, bo dotychczas zabytki z okresu wczesnohistorycznego traktowane były na Śląsku po macoszemu.

CERAMIKA, BROŃ I UBIÓR.

Przeszło trzecia część książki poświęcona jest omówieniu ceramiki słowiańskiej, wśród której autor wyróżnia 14 odmian. — Najstarszą z nich datuje autor na wiek VIII, lub początek IX wieku, najmłodszą na wiek XII. To wczesne datowanie starszej ceramiki słowiańskiej jest bardzo cenne, bo jeszcze nie tak dawno temu prof. Richthofen twierdził, że nie znamy znalezisk słowiańskich z całą pewnością starszych niż z X stulecia po Chr. W rzeczywistości niedawno, jak wiemy z nowych prac prof. Eisnera z Bratislavy, odkryto na Słowacji groby ciałopalne, notorycznie słowiańskie, które z całą pewnością datować można na VI wiek po Chr., a podobne znaleziska odkryto też świeżo w Niemczech środkowych (na Łużycach i w Brandenburgii). Dalszym cennym spostrzeżeniem Kurtza jest stwierdzenie, że zamiana pierwotnie używanych form naczyń polskich na Śląsku na nowe typy, dalej przyjęcie ornamentyki falistej i zastosowanie koła garncarskiego zawdzięcza ludność śląska wpływom idącym znad Dunaju i że zdobycze te stanowią dziedzictwo kultury prowincjonalnorzymskiej. Natomiast wobec tak częstego przeceniania wpływu kultury niemieckiej na słowiańską warto podkreślić opinię autora, że zachodnio-niemiecka ceramika nie zdobyła, jak się zdaje, wpływu na ceramikę słowiańską, co wynika z faktu, że nawet na terenie pogranicznym nad Łabą brak form typowo niemieckich.

Następny ustęp poświęcony jest uzbrojeniu słowiańskiemu. W dziedzinie mieczy stwierdza autor zależność produkcji miejscowej od wzorów wikińskich, albo wprost przyjmuje import z północy; także formy czekanów są jego zdaniem zapożyczone z obszaru wikińskiego lub węgierskiego, natomiast przyznaje autor ludności śląskiej samodzielność w zakresie fabrykacji grotów oszczepów i ostrzy strzał, mających formy odrębne i stwierdza m. in., że czworograniaste ostrza strzał występują na Śląsku wcześniej, niż w Europie zach. Obszernie omawia autor narzędzia domowe, rolnicze i rzemieślnicze, a więc noże, krzesiwa, nożyce, sierpy i zagadkowe misy żelazne, które Grempler uważał za formy do pieczenia chleba, w tej postaci, jako surowiec żelazny o określonej wadze. Dalej opisuje autor wiadra drewniane i wspomina krótko o innych naczyniach i sprzętach z drzewa, odkrytych w grodzie opolskim, następnie zajmuje się narzędziami kościanymi i rogowymi, wśród których znajdują się zabytki bogato rzeźbione, wreszcie omawia wyroby kamienne (żarna i osełki), przęśliki, gliniane formy do pieczenia chleba, wagi składane i inne rzadsze narzędzia.

Osobny ustęp poświęcony jest ubiorowi i ozdobom ludności polskiej Śląska wczesnohistorycznego. Z kilku miejscowości dochowały się szczątki materii lnianej, w Opolu znaleziono trzewiki skórzane, częściowo wyszywane. Ważną częścią stroju był pas skórzany, zapinany guzem drewnianym czy kościanym lub sprzążką metalową. Na pasku zawieszano nóż i krzesiwo. Ulubioną ozdobę kobiet polskich stanowiły kabłączki skroniowe, znane w 140 egzemplarzach na Śląsku, w tej liczbie 4 okazy puste z cienkiej blachy pochodzenia pomorskiego. Inne ozdoby kobiece, jak srebrne naszyjniki, kolczyki, paciorki, wisiorki itd. w grobach rzadkie, lecz obficie znane ze skarbów ówczesnych, świadczące o dużej zamożności i o wysokim stanie złotnictwa polskiego, autor zbywa zaledwie kilku zdaniami, poświęcając tylko pierścionkom nieco więcej uwagi. Następnie zajmuje się sprzążkami, słusznie prostując mylną opinię Petersena o nadbałtyckim pochodzeniu okazów z półkolisto rozszerzoną ramą, które dostały się do Polski raczej ze wschodu, wreszcie omawia paciorki i grzebienie.

ROLNICTWO, OGRODNICTWO I RZEMIOSŁO.

Bardzo ważne są wnioski autora odnoszące się do osadnictwa i gospodarki okresu wczesnohistorycznego. Wbrew opinii innych śląskich prehistoryków stwierdza autor, że co najmniej od środkowej fazy okresu wczesnohistorycznego rolnictwo, a nie polowanie i rybołóstwo, tworzyły podstawę gospodarki żywnościowej Słowian, jak wynika z równomiernego rozłożenia osad polskich w zaraniu dziejów na całym obszarze Śląska z jedynym wyjątkiem obszarów górzystych, oraz z licznych znalezisk zboża (żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia i prosa) w osadach ówczesnych. O rozwoju i znaczeniu ogrodnictwa świadczą znaleziska ziarn grochu i fasoli, nasion ogórków oraz pestek drzew owocowych, np. różnych gatunków jabłek, gruszek, śliwek, wiśni a nawet brzoskwini, jakie odkryto w Opolu. — Hodowano też wszystwie znane dzisiaj zwierzęta domowe ssące, jak konia, krowę, świnię, owcę, kozę i psa, a poza tym — o czym autor nie wspomina — kury. Bardzo krótkie ustępy poświęca autor osadom otwartym i grodom, o których słusznie mówi, że były stale zamieszkane i nie służyły tylko jako schroniska w czasie najazdów i równie krótko załatwia się z budownictwem domów, stwierdzając, że używano zarówno domów zrębowych jak słupowych. W rozdziale poświęconym przemysłowi i handlowi przeciwstawia się autor mylnym poglądom, jakoby u Słowian wczesnohistorycznych wszelkie rzemiosło miało tylko charakter przemysłu domowego i stwierdza, że ponad wszelką wątpliwość istnieli wśród ludności polskiej na Śląsku wykwalifikowani rzemieślnicy. Szczegółowiej zajmuje się przemysłem hutniczym i kowalskim, fabrykacją granitowych żarn, wyrabianych na zboczu Sobótki z surowca, wydobywanego w tamtejszych kamieniołomach oraz przemysłem garncarskim. Handel śląski okresu wczesnohistorycznego kierował się — zdaniem autora — głównie na północ ku Bałtykowi i na południe ku Czechom i Węgrom, natomiast jedynym śladem stosunków z niemieckim zachodem jest — zdaniem autora — miecz z Nasiedla, sprowadzony za pośrednictwem Słowian połabskich.

Ostatni ustęp pracy poświęcony jest obrządkowi pogrzebowemu. Rozróżnia tu autor groby ciałopalne, znane tylko z dwóch miejscowości w łużyckiej części Śląska i datowane na wiek jedenasty, groby szkieletowe płaskie, początkowo z nieregularnym układem szkieletów, następnie zaś układane w regularnych rzędach, wreszcie groby szkieletowe w kurhanach, jakie znamy ze Śląska jedynie z Latkowa, w pow. mielickim. Autor z dotychczasowych spostrzeżeń wnioskuje, że ludność właściwego Śląska, jeżeli pominiemy okolicę Zgorzelic, tworzącą część Łużyc pruskich, grzebała zmarłych wyłącznie niespalonych, jest to jednak z pewnością wniosek przedwczesny i wspomniane wyżej odkrycia grobów ciałopalnych na Łużycach, w Brandenburgii i na Słowacji usprawiedliwiają przypuszczenie, że i na Śląsku odkryjemy groby tego rodzaju. W zakończeniu autor twierdzi, że poczynając od XIII stulecia słowiańska ludność Śląska stopniowo rozpływa się w wielkiej liczbie osadników niemieckich, napływających do tej dzielnicy i zarazem ginie kultura słowiańska. Jak to twierdzenie pogodzić z faktem, że prawie cały Śląsk Górny, a nawet cząstka Śląska środkowego zachowała do dziś charakter przeważająco polski i to nie tylko w języku, lecz nawet w budownictwie (chaty i kościoly drewniane), stroju, obrzędach i wierzeniach ludowych, tego autor nie próbuje tłumaczyć.

Pracę uzupełnił autor spisem ważniejszych miejscowości śląskich, które dostarczyły znalezisk słowiańskich, króciutkim spisem literatury i muzeów zwiedzonych oraz 13 rycinami i 4 tablicami. Niestety ilustracje dobrane są bardzo jednostronnie i ograniczają się zaledwie do kilku grup zabytków: ceramiki, ozdób kościanych, przęślików kabłączków skroniowych i paciorków, nie dają zatem zupełnie pojęcia o rozmaitości i bogactwie kultury polskiej na Śląsku. Poważnym brakiem książki jest też zupełny brak choćby jednej mapy, przedstawiającej gęstość osadnictwa wczesnohistorycznego na Śląsku, a nawet wspomniany wyżej spis miejscowości obejmuje wyłącznie stanowiska wspomniane w tekscie. Mimo tych braków i mimo, że na niektóre poglądy autora nie podobna się zgodzić, wydawnictwo to stanowi jako całość pozycję dodatnią, przede wszystkim dlatego, że autor znacznie obiektywniej potraktował wczesnohistoryczną kulturę polską na Śląsku niż inni współcześni prehistorycy niemieccy. — Zgodnie z tezami prehistoryków polskich stwierdził on, że polska ludność Śląska, którą co prawda nazywa tylko ogólnie „słowiańską“, w IX, X, i XI wieku była wybitnie rolnicza, że istnieli na Śląsku na długo przed kolonizacją niemiecką rzemieślnicy-specjaliści, że główne zdobycze cywilizacyjne zawdzięczała ludność śląska wpływom południowym, naddunajskim, natomiast wpływy niemieckie są prawie nieuchwytne. Wymowa faktów jest widocznie tak silna, że nawet bezstronny uczony niemiecki oprzeć jej się nie może. W związku z powyższym stwierdzeniem specjalnego posmaku nabiera jednak fakt, że dr Kurtz, autor omówionej tu książki, w okresie ogromnego popytu na prehistoryków w Niemczech nie może otrzymać stanowiska w swojej specjalności.

—ooo—

MALWA CHĄDZYŃSKA

Z dnia pogrzebu Jana Kasprowicza

NAGRODĘ OTRZYMAJ...

Pragnąłeś po śmierci gdzieś obok Harendy
Leżeć, by szumiał ci gaj,
By ludzie mówili przechodząc tamtędy:
Ach, Boże spoczynek mu daj.

Niech Bóg da ci szczęście, niech da ci wesele!
Modlitwę tę wszyscy dziś ślą.
— Tyś dał nam swą dusze w olbrzymim swym dziele,
Więc oko opływa nam łzą.

I Tatry w słonecznej powodzi skąpane
Modlitwę do niebios ślą wrót.
I szepcą dziś niskich chat strzechy słomiane:
Nagrodę otrzymaj za trud...

STANISŁAW PIGOŃ

Józefowi Ujejskiemu podzwonne

Nauka polska poniosła stratę bardzo dotkliwą. Zmarł (dn. 8 lipca r. b.) jeden z czołowych reprezentantów polonistyki, prof. J. Ujejski. Zmarł przedwcześnie (ur. w r. 1883) nie dobiegłszy do naturalnego kresu swej działalności naukowej. Linia rozwoju tej działalności występującej z latami coraz bogaciej i różnostronniej, została urwana niespodziewanie, a kierunek i wymiary jej wzrostu świadczą dostatecznie wyraźnie, ileśmy przez tę śmierć przedwczesną stracili.

Zapewne, nie należał Ujejski do pisarzy naukowych zbyt płodnych; ilościowo dorobek jego nie jest nadmiernie wielki, jakościowo za to bez wyjątku pierwszorzędny. W spuściźnie jego nie ma dzieł puszczonych łatwo, zbytych; jedno w drugie stanowią one pozycje w nauce ważkie, niejednokrotnie torują nowe drogi badań; nikt z następców nie będzie mógł ich pominąć. Był to badacz cyzelator, dzieła swe obmyślał długo, przygotowywał nadzwyczaj sumiennie ich podbudowę erudycyjną, a w ostatecznej wypowiedzi kondensował je jak najściślej. Blisko spokrewniony z poetą Kornelem, miał we krwi dążność do pięknego ujęcia treści, a talent literacki wybitny.

Jako naukowiec wyszedł on ze szkoły Tarnowskiego i Tretiaka, ale od razu zaznaczył się jako indywidualność odrębna, samoswoja zarówno w doborze problemów jak i metodzie ich rozwiązywania.

Działalność naukową rozpoczął wcześnie, w r. 1905, rozprawą doktorską, p. t. „Pojęcia Reja, dotyczące Polaka i Polski". Był to tytuł spłacony ławie uniwersyteckiej. Na własne drogi wszedł Ujejski w r. 1909, wnosząc w niedużej rozprawie nowe spojrzenie na „Kordiana" Słowackiego, tudzież na konflikt ideowy jego autora z Mickiewiczem. W trzy lata później, na setną rocznicę urodzin Krasińskiego, dał Ujejski również cenną rozprawę: „Główne problemy Nieboskiej komedii". Oba te studia odsłoniły wyraźnie oblicze naukowe młodego badacza. Ujawnił się w nich jego umysł wnikliwy i precyzyjny, z wyraźnym upodobaniem do ujmowania zjawisk literackich od ostrony filozoficzno-ideowej; widać też było, że pociągała go epoka najwyższego nasycenia piśmiennictwa naszego problematyką społeczno-filozoficzną, twórczość literacka i publicystyczna wielkiej emigracji.

Jako stypedysta Pol. Akademii Umiej. wyjechał Ujejski niebawem do Paryża na studia nad tą właśnie epoką. Z jak rozległym i bogatym powrócił dorobkiem, widać z przedstawionego Akademii (1915 r.) treściwego referatu: „Ogólny rzut oka na prawdy religijno-społeczne wśród emigracji po r. 1831". Referat ten jest zarazem zawiązkiem już podówczas zamierzonego dzieła większego o polskiej ideologii mesjanicznej, które zaprzątać miało autora przez długie lata. Niejedna z prac późniejszych stanowić będzie jakby poszczególne rozdziały, jakby odgałęzienia szczegółowo opracowane, tego wielkiego zamysłu badawczego.

Rozdziałem takim wydaje się następne zaraz studium: „Główne idee w Anhellim Słowackiego" (1916). Słowackiego — jak widzimy — upodobał sobie Ujejski osobliwie; dowody rozległych i głębokich studiów nad jego twórczością złożył w gruntownych recenzjach (szczególnie cenna o dziele Pawlikowskiego „Mistyka Słowackiego") oraz w rozprawach wstępnych w t. I i II wydawanych przez Ossolineum Dzieł wszystkich poety.

Docenta Uniw. Jagiell. powołano w r. 1919 na katedrę we wskrzeszonym Uniwersytecie Warszawskim. Odtąd, oddany wyłącznie pracy profesorskiej i naukowej (z przerwami na rektorat 1932—3 i ostatnio na wiceministerstwo), raz po razu występował z dziełami większego pokroju.

Monografia o Malczewskim (1921) jest działalności tej niewątpliwie najpiękniejszym wyrazem. Istny standard-work. Skupia w sobie najszczęśliwiej wszystkie zalety badacza: Doskonałe obycie z literaturą europejską (głównie angielską) pozwoliło autorowi rzucić dzieła poety na rozległe tło porównawcze; inklinacja filozoficzna znalazła wyraz we wnikliwym rozdziale o światopoglądzie Malczewskiego, wrażliwość na piękno poezji i subtelność zastosowanej metody analitycznej dały w rezultacie najpiękniejsze karty tej monografii, poświęcone charakterystyce artyzmu poety. Obok dzieła Chrzanowskiego o Fredrze jest to pierwsza i jedna z najprzedniejszych monografii literackich nowego typu.

Chwilowo tylko, sporadycznie odwodzony do zagadnień postronnych (m. in. kilka doskonałych rozpraw o Mickiewiczu) kontynuował Ujejski wielki swój zamysł dziejów polskiej myśli mesjanicznej. Pewne działy zagadnienia opracował (starym sposobem) w osobnych monografiach. Tak powstała książka „Król Nowego Izraela" (1924) o osobliwym mistyku polskim z końca XVIII w., Tadeuszu Grabiańce; wnet potem dalsza „Ocena obsolutu" (1925) rzucająca ostre krytyczne światło na życie i filozofię Hoene-Wrońskiego. Schodząc z gałęzi do pnia, wykończył autor wreszcie I tom szeroko zakrojonego dzieła „Dzieje polskiego mesjanizmu" (1931), obejmujący — poza określeniem istoty i ram samego zjawiska mesjanizmu — przegląd jego przejawów w literaturze polskiej od w. XVI aż po r. 1831. Zwłaszcza rozdziały traktujące o atmosferze mesjanistycznej „wieku oświeconego" i Księstwa Warszawskie odsłoniły autorów i światy myśli politycznej pomijane dotąd i ciemne. Dzieło niestety nie dokończone. Być może, dalszy jego ciąg, który miał objąć resztę w. XIX, da się odtworzyć z wykładów uniwersyteckich; narazie z zamierzonej zawartości tomu II mamy tylko ów szkic z r. 1915, oraz osobne rodziały: o Mochnackim (1933), wreszcie o towianiźmie w stosunku do sekty francuskiej wintrasistów (1928). Piękne przemówienie o Żeromskim, „Ostatni wajdelota" (1927), wykazujące w ideologii jego odblaski haseł wielkiej emigracji, jest poniekąd również odpryskiem z tego samego ogniska zainteresowań.

Wreszcie rok ubiegły przyniósł niespodziankę: książkę o Conradzie-Korzeniowskim. Prześliczna. Niby to rzecz dana mimochodem i niby to tylko wypłacenie się autorowi za odebrane rozkosze z lektury jego powieści. W rzeczywistości jednak dzieło, które z najsolidniejszą gruntownością naukową łączy „dziwnymi sekrety" urok najprzedniejszych essayów. Tonem swobodnej, lekkiej niby-gawędy, w gruncie rzeczy słowami najsumienniej odmierzonymi maluje autor wyrazisty portret literacki powieściopisarza z drobnych, rozsianych napomknięć odtwarza jego zasady estetyczne, zbiera skrupulatnie wszystkie echa polskości w jego dziele twórczym, charakteryzuje tworzywo jego opowiadań, typ jego artyzmu (swoistą odmianę realizmu) etc. Krytyk osiągnął tu pełnię swego zamierzenia: pokazał i wytłumaczył bogactwo treści i wyrazu pisarza, uczynił go nam bliskim, wciągnął w orbitę umiłowania.

Na tym przerwał się ciąg tak wspaniale rozwijającej się działalności krytycznej Ujejskiego.

Na zakończenie nie zawadzi zaznaczyć, że Zmarły w swej pracowni naukowej nie był odcięty od życia narodowego, owszem wkraczał czynnie w kłębiące się w nim wirowisko idei. Szczególnie podczas wojny brał Ujejski czynny udział w formowaniu się i pogłębianiu nowoczesnej świadomości narodowej. Jako współpracownik redagowanego przez Ign. Chrzanowskiego i R. Rybarskiego krakowskiego miesięcznika „Rok Polski" ogłosił tam rozprawę „Narody i ich filozofia" (1916), zwróconą przeciwko szowinistycznej publikacji W. Wundta na podobny temat, a gruntującą założenia i zadania polskiej filozofii narodowej. Tymi czasy liczył go też „Głos Narodu" do pocztu swych czynnych współpracowników.

Wówczas też wydał on anonimowo dziełko zawierające społeczno-filozoficzne rozważania na temat podstaw etycznych nacjonalizmu, „Nacjonalizm jako zagadnienie etyczne" (1917). Polemizując gęsto z rozprawą Z. Balickiego, „Egoizm narodowy w świetle etyki", podjął tam Ujejski próbę zgodzenia nowoczesnego polskiego nacjonalizmu z zasadami etyki i religii. Przy takim właśnie nacjonaliźmie, a przeciwko internacjonalizmowi, opowiadał się sam bez zastrzeżeń: „Na gruzach — pisał — niemoralnego nacjonalizmu stawiamy w naszym poglądzie na świat moralny, — ale także nacjonalizm. Kosmopolityzm jako ideał uważamy za abstrakcyjne mrzonki, nie liczące się z elementarną rzeczywistością. Propagowanie go uważamy za działanie wprost rozkładowe w organicznym procesie rozwoju życia ludzkości, za przeciwdziałanie przyrodzonemu jej biegowi". W przeddzień zorganizowanych wysiłków wolnomurarstwa światowego i wzmożonych zabiegów „między-narodu" w Wersalu — to wyraźne postawienie sprawy jakże bardzo było na czasie! Autora tych słów nie kusiły manowce.

Jakoż powiedzieć wolno o Ujejskim, że miał żywe odczucie dla geniuszu narodu, wyrażającego się w świecie myśli i w świecie piękna. Chwytał go zarówno tam, gdzie się on wyrażał w całej pełni i krasie, mianowicie w twórczości wielkich poetów polskich, jako też i tam, gdzie (jak np. u Conrada) brzmiał on cicho i delikatnie, jak przytłumiony szmer nurtu podziemnego, płynącego pod pokrywą przybranej obczyzny.

———:oOo:———

GASTON CHÈRAU

Dzwonek klasztorny

Przekład z francuskiego Z. S.

Po dziesięciu nędznych latach na najlichszych statkach mórz chińskich i portów afrykańskich, skąpanych w wodzie, w której pływają zgniłe kawony, pomarańcze, snopy siana, cuchnące odpadki i zdechłe zwierzęta — a także w kopalniach Johannesburgu, gdzie się znajduje złoto, które nigdy nie będzie należało do ciebie, w krainach febry i zgnilizny, po tych dziesięciu latach zły los zawiódł go z powrotem do okropnego kraju, który był opuścił, do siedliska skazańców.

Dziesięć lat! Uczestniczył w podróży, która się zakończyła wypadkiem na linii z Saintes do La Rochelle. Owej nocy, wśród krzyków, jęków rannych, w huku i łoskocie srożącej się burzy, nikt nie zauważył więźnia, który przez dach wywróconego wagonu wydostał się na wolność. Znalazł się w szczerym polu oświeconym jasnymi płomieniami strzaskanej lokomotywy i wagonów, również zajętych ogniem. W zamęcie, który zapanował następnego dnia, zapisano go na liście spalonych wraz z jego eskortą: dwoma żandarmami. Po pierwszym, silnym wrażeniu, powrócił spokojnie na linię kolejową z twarzą poczerniałą, osmolonymi włosami i ubraniu w strzępach, aby się połączyć z gromadą ratowników. O świcie, nakarmiono go, podziękowano za akcję ratowniczą i zapytano o nazwisko:

— Anzelm Durand, handlowiec, 7 Bulwar Obrony w Argenteuil.

Poszło mu to jak z płatka. Zagrabił porządne walizki skórzane i duży pakunek, że zaś nie brakło pieniędzy w kieszeniach pogorzelców, mógł zapłacić tragarzy i uciec w świat szeroki. Skierowano go do Bordeaux, gdzie on już sam kupił sobie bilet do Marsylii.

Od tej chwili prześladowała go paniczna trwoga, że go znowu pochwycą. Z trzech paszportów, które znalazł w portfelach umrzyków, żaden mu się nie nadał. Jeden z nich należał do ośmdziesięcioletniego starca, drugi do mężczyzny lat sześćdziesięciu, trzeci do kobiety. Prawdziwy pech po szczęśliwym zdarzeniu, które mu naprowrót otworzyło drzwi świata!

Był jeszcze w Marsylii, pomagając ładować węgiel na statki, gdy przeczytał w gazecie, że „Martinière" opuściła wyspę Rè, zabierając galerników. On to przeczytał, on, który miał wyznaczone miejsce na spodzie okrętu tej nazwy! Zamiast tego siedział sobie najspokojniej w Marsylii wolny!

Tak, wolny! Lecz mimo to, coraz bardziej czuł ciężar kajdanów tej wolności. Nie łatwo wyżyć na tym świecie i uchodzić za nieznanego, gdy się nosi nazwisko Robutarda, niegodziwca, skazanego na śmierć i ułaskawionego, którego fotografia ukazała się we wszystkich dziennikach, a który został w nich wymieniony jeszcze raz ostatni, przy okazji katastrofy w Saintes: „Robutard skazany na śmierć i ułaskawiony, zakończył w katastrofie swe życie między dwoma żandarmami, w drodze do Gujany". Więc też Robutard, zamieszkały w porządnym hotelu Marsylii, zaopatrzony w dostateczną ilość pieniędzy, by sobie dobrze żyć, uczuł się znów zagrożonym. Zapłacił swój rachunek i czekając na szanse ustalenia losu, zniknął w czarnych czeluściach, gdzie się ładuje węgiel. Trzeba by mu dowodów, papierów, stanu cywilnego. Wyczekał trzy miesiące na sposobność zdobycia dokumentów: kupił je za tysiąc franków od człowieka podobnego do niego, a starszego o pięć lat zaledwie. Potem, trochę już spokojniejszy, wsiadł na okręt i włóczył się po świecie, zatrzymując się w najbardziej zakazanych kątach na wybrzeżach, znajdując pracę przy tropikalnych warsztatach, w lodowatych piekłach, lub w kopalniach soli na Węgrzech, które niszczą płuca i oczy. Wszędzie harowanie, ciężkie harowanie, gorsze niż to dawniejsze, od którego się wyzwolił.

Czy musiał stracić już wszelką nadzieję życia normalnego, a nie w smrodliwej nocy kopalń, pod piekącym słońcem kamieniołomów, lub w gorących brzuchach spodów okrętowych? Czy już nigdy nie ujrzy miłego skrawka ziemi, na której wahadło zegarowe odmierzało minione lata szczęśliwego dzieciństwa, u boku słodkiej kobiety, która zdawała się rozdawać na cały świat swoje skarby dobroci, pogody, pobłażania? Która uczyła żyć swoje małe dziecko, przy zapachu pieczonego chleba i jabłuszek renet w szufladach, gromadzonych przy blasku ogniska kuchni, na której gotowała się w garnku taka smaczna zupa? Zdawało mu się że gdyby tam przybył, zażegnałby złe losy, stworzyłby sobie inne, nowe istnienie, które by wymazało pamięć nędznego Robutarda, powołując do życia Feliksa — jego dawne imię, brzmiące dziś jak ironia.

Przeżywał w pamięci chwilę, gdy po raz pierwszy opuścił to wszystko, za poradą swych nauczycieli, po odebraniu świadectw... Może zgubiło go to właśnie, że uznano go za tak wyjątkowo zdolnego? Inaczej byłby pozostał w drogiej chatce na wsi i pracował w polu, jako najemnik, albo też jako stolarz, murarz, a życie z pewnością nie zaciążyłoby mu nigdy. Zamiast tego: powinszowania, rady nauczycieli, tłumaczących mamie, że jej mały może zajść daleko, jeśli mu tylko dadzą broń do zdobycia intratnych stanowisk, broń, w postaci wyższych nauk, dyplomów... Opuścili więc z matką wioskę, by udać się do miasta, gdzie się będzie uczył, zdobędzie może sławę...

Nowe mieszkanie było niezbyt miłe, miało bowiem widok na szkaradny gmach więzienia, ze szczelnie zamkniętą bramą, z małym okienkiem, przez które badano każdego przybysza, zanim go wpuszczono do środka. To prawda, że dalej wznosił się klasztor Wizytek, którego dzwonek rozbrzmiewał tak srebrzyście co rano. To on kołysał do dalszego snu Felisia, skoro dzień zaświtał. W lecie, budził go nawet, gdyż lubił patrzeć jak słonko ładnie wschodzi a miasto otrząsa się ze snu: słyszał jak piekarz stęka wyrabiając ciasto, jak wózek mleczarza krzypi, przejeżdżając po mleko do ferm... to wszystko przed pianiem koguta. O tej godzinie milczały jeszcze ptaki, dopiero nieco później pierwszy odzywał się kos w krzakach bzu ogrodu Trybunału. Gdy Feliks schodził na dół, śniadanie było już gotowe. Jedząc powtarzał lekcje. Kolo nowego mamusia zaczynała dzień pracy pośród stosów bielizny skrojonej do szycia i haftu. Bez słowa skargi, z uśmiechem na ustach, była już przy zajęciu, radą, że je zaczęła wcześnie, uprzedzając słońce. A po

ZYGMUNT LASOCKI.

Bohdan Chmielnicki w „Polskim Słowniku Biograficznym"

Czternasty z rzędu zeszyt „Polskiego Słownika Biograficznego" (z lipca b. r.) należy do najbardziej interesujących, jakie dotychczas wyszły. Spotykamy w nim życiorysy potężnych osobistości, które odegrały pierwszorzędną rolę w dziejach Polski XVII w.: hetmana Jana Karola Chodkiewicza, zwycięzcy pod Kircholmem i Chocimem i w tylu innych bitwach, i tragicznej dla Polski postaci — Bohdana Chmielnickiego. Dalej przesuwają się nie tak silne już, ale jeszcze bardzo wybitne postacie: kilku Chodkiewiczów, dzierżących najwyższe stanowiska na Litwie, wodzów i mężów stanu; dalej Stefana Chmieleckiego, który hańbę ucieczki swojej spod Cecory okupił długoletnią odważną i zwykle zwycięską walką z Tatarami, rycerskich Chodeckich, u schyłku XV i w pierwszych dziesiątkach XVI w. dzielnych obrońców Kresów; zaś w bliższych nam czasach dzielnych generałów: Chłopickiego, dyktatora z powstania listopadowego, i Chłapowskiego. Równocześnie znajdujemy tam liche figury generała wojsk pruskich, Chlebowskiego, mistrza pruskiej loży masońskiej w Warszawie, i brata jego, pułkownika, obu renegatów i germanizatorów. Czytamy z zajęciem dzieje niezwykłego awanturnika, Ignacego Chodźkiewicza, oficera wojska polskiego, a następnie rosyjskiego, później jednego ze zdobywców Bastylii; po powrocie do Polski podpułkownika na Litwie w czasie insurekcji Kościuszkowskiej, pozornie patrioty i rewolucjonisty, w rzeczywistości szpiega rosyjskiego. Szuler ten i rabuś zostaje szefem policji w zdobytym przez Francuzów Neapolu. Jako generał wojsk rewolucyjnych francuskich, intryguje przeciwko dowódcy legionów, Dąbrowskiemu. Uwieziony razem z Masseną za brudne operacje finansowe, wydalony z Francji, wraca znowu do kraju. Dostaje się i tu do więzienia. Umiera w nędzy.

Zeszyt ten zawiera biografie Bronisława Chlebowskiego, naczelnego redaktora pomnikowego wydawnictwa, „Słownika geograficznego"; Kazimierza Chłędowskiego, znanego literata, a mniej wybitnego ministra dla Galicji przy rządzie austriackim; również i literata Walentego Chłędowskiego. O tym mylnie napisano w „Słowniku", iż „pochodził z szlachty galicyjskiej, noszącej tytuł bar. Chłędowskich-Pfaffenhofen", raz, że Chłędowscy do szlachta polska (Boniecki, Borkowski), a nie „galicyjska" a powtóre, ponieważ Walenty, zmarły w r. 1846, już dawno nie żył, gdy wspomniany poprzednio Kazimierz otrzymał w r. 1884 w Austrii tytuł barona i pozwolenie dodania do swojego nazwiska nazwy wygasłej rodziny von Pfaffenhofen.

Adam Chmara, z niezamożnego szlachcica, dzięki zdolnościom, sprytowi, możnych protekcjom, dorobił się znacznego majątku i wywindował się na wojewodę mińskiego. Znany z grzeczności. Było przysłowie: „grzeczny jak wojewoda miński"; co ważniejsze, znany z tego, iż z włościanami w swoich dobrach obchodził się „po ludzku i po chrześcijańsku" i bronił ich przed wszelakim wyzyskiem. Pamiętał też o nich w swoim testamencie.

Jest w tym zeszycie życiorys niedawno zmarłego, znanego historyka Adama Chmiela, dyrektora Archiwum aktów dawnych m. Krakowa, szczególnie zasłużonego dla historii Krakowa. Dalej jednego z najwybitniejszych dowódców w powstaniu styczniowym, odważnego Zygmunta Chmielińskiego, rozstrzelanego przez Moskali. Obszerniej opisano życie Adama Chmielowskiego, powstańca, artysty malarza, później zakonnika, ascety, szlachetnego filantropa, znanego pod nazwą brata Alberta, założyciela Albertynów w Krakowie. Oczywiście nie brak biografii zasłużonego dla nauki historii literatury polskiej Piotra Chmielowskiego; również jak i pisarza ludowego i wydawcy pism szerzących wśród najszerszych warstw ludowych, zwłaszcza pod zaborem pruskim, uświadomienie narodowe, Józefa Chociszewskiego. Jest i życiorys znakomitego rysownika i rytownika, malarza Daniela Chodowieckiego.

Prof. Korduba o Chmielnickim

Najważniejszą, obok hetmana Karola Chodkiewicza, postacią, występującą w tym zeszycie Słownika Biograf, jest oczywiście Bohdan Zenobi Chmielnicki. Życiorys jego nakreślił prof. Miron Korduba. Nie łatwe było to zadanie, ze względu na ogromny materiał źródłowy, zawierający częstokroć zupełnie sprzeczne dane o Chmielnickim. Szczególnie trudne było ono dla prof. Korduby. Znalazł się on w kolizji pomiędzy obowiązkiem bezstronnego historyka, a sentymentem dla człowieka, uważanego za ukraińskiego bohatera narodowego. Prof. Korduba, jako poważny historyk, starał się widocznie nie urazić uczuć Polaków, dał się jednak unieść sentymentowi dla Chmielnickiego, przyczyniając blasków, a ujmując cieni jego postaci.

Na samym początku przytacza on zdanie również wybitnego historyka Ukrainy, prof. Hruszewskiego: „Osobista biografia Chmielnickiego jest równie uboga w realne i niewątpliwe fakty, jak niezmiernie bogata w legendy". Z tych legend wybiera prof. Korduba te, które przemawiają na rzecz Chmielnickiego.

A więc przede wszystkim przyczyny jego zatargu z Czaplińskim: „przyczyną zatargu Czaplińskiego z Chmielnickim była kobieta, z którą Chmielnicki żył po śmierci swej żony i którą następnie uwiódł Czapliński", pisze prof. Kortuba. Dalej: „Czapliński kazał syna Chmielnickiego oćwiczyć, co czeladź wykonała tak gorliwie, że chłopiec w kilka dni potem umarł". Zaznaczam, iż według innych wersji, to właśnie Chmielnicki miał uwieść żonę Czaplińskiego. Wydaje się to bardziej wiarygodnym, gdy się zważy, iż źródła historyczne z czasów, kiedy Chmielnicki stał się już głośną osobistością, stwierdzają, iż on, po bitwie pod Korsuniem, zabrał do siebie żonę Czaplińskiego i zaślubił ją za dyspensą patriarchy. Żonę tę bardzo kochał i był o nią bardzo zazdrosny. Po stwierdzeniu zdrady małżeńskiej z jej strony, dał ją powiesić w maju 1651. Wypadek ten wywołał wstrząs w jego duszy, który nie pozostał bez wpływu na zachowanie się jego w czasie bitwy pod Beresteczkiem.

Nie wiadomo zatem czy konkubina Chmielnickiego, czy też żona Czaplińskiego była powodem zatargów pomiędzy nimi; czy też wreszcie nie jest to jedna i ta sama kobieta, a mianowicie nałożnica Chmielnickiego, którą poślubił Czapliński. A co do syna Chmielnickiego, którego Czapliński osmagać rozkazał, to istniała wersja, przyjęta przez historyków polskich, że był nim najstarszy syn Chmielnickiego, Tymoszko, który przecież żył jeszcze długie lata po tym pobiciu, a nie jakiś inny syn Chmielnickiego, nieznany z imienia. Natomiast faktem pewnym jest, iż Chmielnicki czuł się ciężko pokrzywdzonym pod względem majątkowym przez Czaplińskiego; że nie tylko nie mógł uzyskać sprawiedliwości na podstarościm czechryńskim, mającym możne poparcie Aleksandra Koniecpolskiego, ale sam miał być uwięziony i postawiony przed sądem w sprawie gardłowej. Zdołał uciec na Zaporoże i postanowił sam sobie wymierzyć sprawiedliwość. Bunt Chmielnickiego ma zatem podłoże czysto osobiste: zemsty za krzywdę wyrządzoną jednostce. Trudno chyba przypisywać pobudkom religijnym, narodowym lub socjalnym to wystąpienie przeszło 50-letniego „statecznego" człowieka, który przecież żył jako ziemianin, lojalny obywatel państwa polskiego, zaznaczający wyraźnie swoją przynależność do warstwy uprzywilejowanej. Że tu działała prywata wskazuje także następujące przedstawienie stanu rzeczy przez prof. Kordubę: „Człowiek zwyż 50-letni, ojciec licznej rodziny, dotychczas zamożny, lojalny względem państwa obywatel, niedawno zaszczycony osobistym zaufaniem króla i kanclerza, obecnie wskutek samowoli warchoła kresowego i jego protektorów nagle wyzuty z całego mienia, a w dodatku zagrożony mieczem katowskim, poszedł szukać ratunku na drodze, której dotychczas starannie unikał, by z bronią w ręku wystąpił jako rzecznik już nie tylko swoich krzywd osobistych, lecz także ogólnej sprawy kozackiej, nie przeciw królowi i Rzplitej — jak wówczas głosił — lecz przeciw „królewiętom".

Co najwyżej zatem do uczuć zemsty za krzywdy osobiste przyłączyć się mogła chęć wywalczenia swobód i przywilejów dla stanu, do którego Chmienicki należał — Kozaków.

Osobistymi względami i celami nacechowaną jest i późniejsza działalność Chmielnickiego, gdy doszedł do potęgi: chęć władzy i dążenie do osiągnięcia wszelkimi środkami jakiegoś udzielnego księstwa dla siebie i swoich potomków.

To też poważne wątpliwości nasuwać musi przypisywanie Chmielnickiemu, w dalszym ciągu jego biografii, szerokich planów politycznych a podłożu narodowym ukraińskim, a mianowicie uznanie go za „szermierza państwowej niezależności Ukrainy". To szermowanie zakończyło się dobrowolnym poddaniem się Chmielnickiego Moskwie ugodą perejasławską, dzięki której Ukraina stała się Małorosją.

„Federacyjne" idee Chmielnickiego

Zadziwiać również musi twierdzenie prof. Korduby, iż Chmielnicki „utworzywszy związek elementów prawosławnych i dysydenckich w Polsce, zamierzał wprowadzić Rakoczego na tron polski i przetworzyć Rzplitą w federację Polski, Ukrainy i Litwy jako państw samodzielnych". O takiej koncepcji politycznej Chmielnickiego nic nie wiadomo historykom polskim. Bobrzyński, nie podejrzany chyba o szowinizm narodowy polski w kwestii ukraińskiej, pisze o planach Cmielnickiego: „Dążył Bohdan Chmielnicki do utworzenia odrębnego państwa kosztem kilku ziem Rzplitej, a warunków bytu dla tego państwa szukał we współzawodnictwie potęg ościennych, Polski, Tatarów, Moskwy i Turków". Zaś prof. Konopczyński stwierdza w „Dziejach Polski nowożytnej", iż „6 grudnia 1656 roku na ziemi węgierskiej, w Radnot, spisano traktat podziałowy między pięciu sojusznikami: — Szwecja sięgała po Kujawy, Prusy, część Mazowsza, Żmujdź, cztery powiaty litewskie, Inflanty i lenno Kurlandii. Kurfirst miał wziąć Poznańskie, Kaliskie, Łęczyckie

(Dalszy ciąg na str. IV).

---

tem istny czar... muzyka z dzwonu z klasztoru Wizytek, tony wesołe, jasne, lekkie, niosące się w dal...

A w dwudziestu latach, po roku kłamstw i krętactw w złym towarzystwie nicponiów, nadeszła chwila zbrodni. Ofiarą padł starzec, który dostarczał roboty mamie, był dobry dla Feliksa, darzył go nawet drobnymi prezentami, obiecywał posadę kiedy skończy nauki. A gdy zauważył, że chłopak schodzi na złe drogi, nie szczędził mu zdrowych rad i napomnień, pragnąc go nawrócić. Tak było dnia owego, kiedy Feliks go zabił.

A jednak pomimo tego okropnego roku, który zakończył się zbrodnią, pomimo więzienia, ławy oskarżonych, strasznego wspomnienia próśb matki, błagającej sędziów o litość nad jej małym, obiecując, że sama sprowadzi go na drogę prawości, którą tak nieoczekiwanie porzucił, mimo pogardy kolegów, naigrawań miasta, pamiętającego jeszcze nienagannego ucznia, pozostało mu przecie, gdzieś na dnie sumienia, wspomnienie czystego dzieciństwa, u boku dobrej kobiety, której głos błagalny powinien był wzruszyć serca sędziów...

Po dziesięciu latach nędzy przypomniał sobie wszystko. Nie był to już Robutard, który zabił starego, ani mały Feliś, duma szkoły, był to teraz Lucian Dormoy, wielkie blade i brodate chłopisko, kulejące trochę, z mętnym spojrzeniem spod krzaczastych brwi i z włosem siwiejącym. Mały domek pudmiejski zamieszkiwali obcy, a mama, biedna mama umarła ze zmartwienia, dowiedziawszy się, że jej syn skończył swój marny żywot w ogniu. Jej syn, dawny, mały Feliś!

Źli chłopcy z dawnej bandy ustatkowali się, a niektórzy z nich zajmowali nawet dobre stanowiska. Jeden był hotelarzem, drugi kowalem, dwóch pracowało w urzędach. Inni się pożenili, byli ojcami rodzin. On jeden tak źle skończył. Temu zaś, który był właściwym inicjatorem nieszczęścia, wiodło się najlepiej. W przeciągu dziesięciu lat mógł zakupić hotel, którym zarządzał, a który miał liczną klientelę; podróżni chętnie zajeżdżali do niego, uczty ślubne odbywały się w tym właśnie hotelu, a urzędnicy, kawalerowie lub wdowcy, stołowali się w jego restauracji. A to właśnie on był duszą i podżegaczem ich bandy, on podmówił Feliksa do zbrobni! Otrzymał swą część pieniędzy... Dziwna to awantura, życie!

Fairaud nie poznał Robutarda, lecz on się nie zawahał. Przez tydzień swego pobytu w hotelu rozmawiał z nim parę razy. Pierwszym razem Fairaud zmarszczył brwi, jakby go coś zastanowiło, lecz widocznie rozsądek wziął górę i przestał nad tym rozmyślać. A w ciągu tego tygodnia nienawiść wzbierała w sercu Robutarda do Fairauda, do innych towarzyszy, do całego miasta, gdzie było tak spokojnie, gdzie nikt już nie wspominał dramatu, który swego czasu tak gorąco zajmował mieszkańców, gdzie nikt nie troszczył się o Feliksa, który tak smutno i źle skończył.

Pewnego wieczora, gdy goście rozeszli się już do swoich pokojów, Robutard pozostawszy sam w kawiarni usłyszał, że Fairaud odprawił ostatniego służącego po zamknięciu bramy i załatwia rachunki przy kasie. Zbliżył się do niego i wyrzekł całkiem spokojnie:

— To jednak nadzwyczajne, że ty, Marcinie, wcale mie nie poznałeś!

Przeczucie, które na chwile zakłóciło spokój Fairauda, snać nie rozwiało się jeszcze, gdyż zdumiony, wykrztusił:

— Cóż ty wygadujesz! Byłem pewny, żeś umarł.

Robutard spojrzał mu prosto w oczy i ozwał się reagując na mimowolny odruch swego dawnego towarzysza:

— Niepotrzebnie zamykasz szufladę tak skwapliwie, pieniędzy mam dosyć. Wzruszył ramionami:

— Co prawda, nie wiem po co tu przybyłem. Może po to, aby ci powiedzieć, że mimo twego sadła i tłustego brzucha, mimo tego pierścienia, którego zdjąć nie możesz ze zgrubiałego palca, mógłbym ci jeszcze zakłócić spokojne trawienie!... Ale nie... Dlaczego tu przybyłem? Rozejrzeć się... Jeszcze raz zobaczyć!... I kto wie? Może osiąść tutaj, poszukać czegoś dla siebie, jak ty, jak towarzysze z bandy!... Prawda, że ziemia wielka, ale widocznie tu najłatwiej, skoro tak dobrze poszło im i tobie! Tu właśnie chciałem powrócić!

— A więc chcesz tu pozostać? — zawołał tamten, przerażony.

Robutard, wiedziony duchem przekory, rzucił od niechcenia:

— Być może!

Można wyobrazić sobie, jaką była noc hotelarza po tym posiedzeniu!

— — — — — — —

Nazajutrz, schodząc na pierwsze śniadanie, Feliks Robutard nie ujrzał hotelarza i to go zastanowiło. Powiedział sobie, że postąpił jak głupiec, gdyż człowiek tego typu jak Fairaud, może go łatwo wydać.

— Nagle strach go przejął:

— Czy twój pan wstał? — zapytał służącego.

— O tak, już od dawna.

— Czy zawsze tak rano wstaje?

— No, nie zawsze. Ale dzisiaj już go w domu nie było, kiedyśmy wstawali.

Robutard przełknął szybko swoje pierwsze śniadanie i nie zdradzając pośpiechu, udał się do swego pokoju.

Palnął głupstwo. Rzecz pewna! I to jeszcze jakie!

Czuł, że traci panowanie nad sobą. Nie namyślał się długo. Odłożył ubrania i trochę bielizny, związał to wszystko w pakunek, resztę zapchał bądź jak do kuferka, który zamknął starannie. Wystawił za drzwi pakunek, zawołał służącego i powiedział mu:

— Uprzedź swego pana, że wychodzę na miasto i wrócę dopiero pod wieczór.

Gdy służący się oddalił, zabrał swój tłumoczek, zszedł powoli ze schodów i wyszedł furtką ogrodową nie spotkawszy nikogo. Opuścił miasto.

Nocną porą wrócił do hotelu zdecydowany rozmówić się stanowczo z Fairaudem. Zbliżając się ujrzał dwóch zapóźnionych gości, siedzących przy stole pod światłem lampki elektrycznej. Okrążył więc dom, by uniknąć terasy i wrócił ulicą od strony kawiarni. Przy jednym z marmurowych stolików siedziały trzy osoby, zdające się oczekiwać na kogoś. Rozpoznał wielkiego, chudego pana, obok właściciela hotelu. Był to prokurator, jeden z pensjonariuszów. Skierował się więc na ścieżkę idącą brzegiem ogrodu z tylnej strony domu. Tam nie było nikogo. Pchnął drzwiczki i szedł cicho aleją: spostrzegł na jej rogu dwie sylwetki żandarmów. Tym razem nie miał już wątpliwości, że polowali na niego. Zamknął lekko drzwiczki i wrócił do wioski, gdzie złożył swój pakunek z rzeczami.

I wówczas porwał go straszny gniew na tych, którzy go tropili, niby dzikie zwierzę, a przede wszystkim na Fairauda, ohydnego Fairauda!

Bohdan Chmielnicki w „Polskim Słowniku Biograficznym"

(Dalszy ciąg ze str. III).

i Sieradzkie z Wieluniem. Trzeci wspólnik, Bogusław Radziwiłł, województwo nowogrodzkie z zachowaniem wszystkich własnych dóbr; Chmielnicki — Ukrainę. Rakoczy całą resztę, pod warunkiem późniejszego rozgraniczenia na Rusi z Kozaczyzną i na Podlasiu ze Szwecją" (II 31. 32). Ten plan podziału Polski odbiega chyba daleko od projektów federacyjnych, które prof. Korduba przypisuje Chmielnickiemu.

Zdaje mi się, iż zbyt daleko idzie prof. Korduba w uznaniu talentów organizacyjnych Chmielnickiego, gdy pisze: „Największy podziw wywołuje jego geniusz organizatorski. Wśród ogólnego chaosu który zapanował po bitwie korsuńskiej, potrafił zorganizować administrację, finanse, sądownictwo, policję, słowem stworzyć cały aparat państwowy, zapewnić wojsku dostarczanie żywności i amunicji... w kasie hetmańskiej nigdy nie brakło pieniędzy... podróżujący w roku 1653 przez Ukrainę archidiakon Paweł z Aleppu wyraża podziw dla panującego tam ładu i bezpieczeństwa". Wszędzie, gdzie władał Chmielnicki, wyrżnięto w pień Polaków, Rusinów-uniitów i żydów — o ile nie zdążyli uciec. „Administracja" i „policja" Chmielnickiego miały więc bardzo ułatwione zadanie dla sprawowania rządów i utrzymania spokoju. Pomimo tego, spokój ten był nieraz zakłócany buntami „czerni", a nawet i Kozaków przeciw Chmielnickiemu. Mordowano więc doraźnie nie tylko katolików, również jak i żydów, ale także i prawosławnych, o ile byli przeciwnikami osobistymi Chmielnickiego. Obchodzono się przy tym zwykle bez sądów i żadnych formalności. Wobec tego rodzaju postępowania z mniejszościami narodowościowymi i opozycją panował czasami chwilowy spokój na Ukrainie — podobny jak dzisiaj w Rosji Stalina. Ze finanse Chmielnickiego były w dobrym stanie i że mu nigdy nie brakło pieniędzy — wiadomo. Miał on zawsze sporo baryłek złota — z rabunku. Zdolności do zorganizowania olbrzymich mas do walki przeciwko Polsce i do utrzymania ich pod bronią agitacją i terrorem, nie można oczywiście zaprzeczyć Chmielnickiemu.

Wyniki jego działalności dla Ukrainy ilustruje pismo najlepszego znawcy stosunków, bezpośredniego następcy Chmielnickiego w godności hetmańskiej, Wyhowskiego, do króla z 29 grudnia 1659, który w ten sposób opisuje spadek, jaki po nim pozostał: „Jest bowiem non horribilis potęga kozacka przez te lata w burzach domowey woyny fluctuando nadwerężona: gdy co naygromadniejsze wyginęli pułki Połtawski we czterdzieści, a Mirhowski we trzydzieści tysięcy. Przyłucki także y Irkliczoski wszczęt zniesieni a pokrywami miasta y wsi porosłe bo iedni na placu w tak wielu krwawych poboiowiskach legli, a drudzy z białą płcią w Ordę zaięci" (Pamiatnyky izdannyje wremennoju kommissieju dla rozbora drewnych aktow III 405).

Z zemsty i dla celów osobistych spowodował Chmielnicki okrutny przelew krwi, straszne zniszczenie kraju, którego mieszkańcy, o ile nie padli w walce lub nie zostali zamordowani, poszli setkami tysięcy w jasyr tatarski. Wynik: przejście Ukrainy spod ciężkiego bezsprzecznie panowania „królewiąt" polskich pod jarzmo moskiewskie.

Zdanie historyka Jul. Bartoszewicza: — „Chmielnicki nic nie budował, tylko burzył", jest zupełnie uzasadnione.

Stosunek Chmielnickiego do ludności włościańskiej trafnie charakteryzuje Szujski zdaniem: „O ludzie ruskim, o równości jego wobec prawa nie myślał Chmielnicki. Służył on stanowi — Kozactwu".

Szlachectwo Chmielnickiego

Chmielnicki był bowiem Kozakiem. Szlachectwo jego jest wątpliwe. Wywód prof. Korduby o szlachectwie jego ojca nie jest bynajmniej przekonywujący. Że sam Bogdan Chmielnicki nazywał siebie „urodzonym" i używał pieczęci z herbem Abdank, to jeszcze nie dowód szlachectwa. Wypadków podszywania się pod szlachectwo było w zachodniej Polsce już w pierwszych dziesiątkach XVII wieku mnóstwo, jak świadczy chociażby tylko gruba księga nieubłaganego wroga rzekomych szlachciców, śmiesznego w swoim zacietrzewieniu autora „Liber Chamorum". A cóż dopiero na Kresach! Wprawdzie sam fakt, iż nie ma Chmielnickich u Paprockiego lub Okolskiego, nie dowodziłby jeszcze, iż nie było szlachty tego nazwiska, gdyż wiele opuszczono nazwisk szlacheckich w tych herbarzach. Natomiast późniejsze umieszczenie nazwiska Chmielnickich u Kojałowicza nie dowodzi jeszcze ich dawniejszego szlachectwa, pomijając już, iż nie wiadomo na pewno, czy odnosi się ono do rodziny Bohdana. Silniej jednak przemawia okoliczność, że podczas, gdy o niektórych dowódcach kozackich, podległych Chmielnickiemu, np. o Krzyczewskim, Neczaju, Wyhowskim, także i o Bohunie (zob. jego biografię przez dra Łatacza w „Słown. Biograf."), wspominają współczesne źródła polskie jako o szlachcie, to Chmielnickiego nazywają „Chmielem", — „chłopem" i t. p. i to nie tylko źródła polskie ale także i ruskie, jak np. Ierlicz, a zwłaszcza doskonały znawca stosunków, prawosławny Rusin wojewoda Adam Kisiel.

Zresztą oczywiście najsilniejszym argumentem przeciwko szlachectwu Chmielnickiego jest fakt, iż konstytucją sejmową z roku 1659 (Volumina Legum IV 303) nadano Jerzemu Chmielnickiemu, synowi Bohdana, szlachectwo, gdy równocześnie opiekunowi jego, hetmanowi wojsk zaporoskich, Janowi Wyhowskiemu udostojniono „starożytny herb domu jego" (Metryka Koronna, odpis dyplomu w „Miesięczniku Heraldycznym" II 166—168). Również i krewny Bohdana, Paweł Chmielnicki, został dopiero w roku 1661 nobilitowany (Vol. Leg. IV 359).

Obiekcja prof. Korduby, iż „przecież jego szlachectwa nikt nie skarżył sądownie", nie jest uzasadniona. Przede wszystkim „nagana szlachectwa" nie musiała koniecznie odbywać się w drodze skargi sądowej — była to raczej, stosunkowo rzadka forma kwestionowania szlachectwa — wystarczała zupełnie jakaś „przymówka", gdy jakiś szlachcic gdziekolwiek zarzucił komu, iż niesłusznie podaje się za szlachcica, dalej, że jest chłopem, chamem i t. p., tak jak o Chmielnickim pisano, a zapewne jeszcze częściej mówiono. Wobec takiego zarzutu, obowiązkiem „naganionego" było oczyścić się z zarzutu nieszlachectwa w przyjętej zwyczajowo formie. Rzeczą zatem Chmielnickiego było przeprowadzić wywód swojego szlachectwa, czego oczywiście nie uczynił.

Charakterystycznym było zaznaczanie prawdziwego, czy urojonego szlachectwa i starego herbu polskiego przez Chmielnickiego, nawet w czasie, gdy stał na czele „czerni" ruskiej. Nie dowodziło ono ideowej łączności z tą „czernią", o którą w rzeczywistości wcale się nie troszczył, jak tego dowodzi m. in. umowa zborowska i późniejsze oddawanie chłopów w poddaństwo.

O wadach Chmielnickiego, a w szczególności jego okrucieństwie, o jego pijaństwie i t. d., nie ma wzmianki w biografii.

Kwestia, czy Kozacy mogli odnieść triumf pod Żwańcem, gdyby ich Tatarzy nie opuścili, jest oczywiście wątpliwą, zaś bitwę pod Ochmatowem uważa prof. Korduba za nierozstrzygniętą, natomiast historycy polscy (Szujki, Bobrzyński, Konopczyński) za zwycięską dla Polaków. Nomenklatura „zachodnioruskie ziemie", której prof. Korduba używa, nie jest używana w historiografii polskiej.

Prof. Korduba jest wybitnym historykiem, a współpraca jego w „Polskim Słowniku Biograficznym" jest z pewnością bardzo cenną. Lecz, jeżeli jest osobistość w historii polskiej, której życiorysu nie należało powierzać wyłącznie uczonemu ukraińskiemu w tym wydawnictwie, to już chyba Chmielnicki. Wątpię bardzo, by w jakim pomnikowym dziele historycznym ukraińskim opracowanie biografii Chmielnickiego oddano uczonemu polskiemu.

Sądzę, iż już dowodem największej bezstronności w kwestii biografii Chmielnickiego mogło być powierzenie jej opracowaniu prof. Kordubie wraz z jednym z historyków Polaków.

„Fundusz Kultury Narodowej"

Nieliczne z instytucyj dysponujących funduszami publicznymi dbają o to, by sprawozdania z ich pracy docierały do szerokiego grona obywateli, a tym samym by poddawać całokształt swej działalności pod kontrolę i krytykę społeczeństwa. Do tej kategorii instytucyj należy założony w r. 1928 z inicjatywy Marszałka Józefa Piłsudskiego „Fundusz Kultury Narodowej". Ukazały się dotąd trzy grube tomy, zawierające szczegółowe sprawozdanie jego działalności za lata budżetowe 1928/29 do 1934/35, a nadto w ostatnich tygodniach osobna publikacja p. t.: „Fundusz Kultury Narodowej, 1928—1937, Zarys działalności" (Warszawa, 1937), ułatwiająca znakomicie zamierzoną przez Dyrekcję Funduszu Kultury Narodowej kontrolę „co do zasadniczych założeń i wyników dotychczasowej działalności tej instytucji".

ROLA KULTURALNA POLSKI.

Celem, który „Funduszowi Kultury Narodowej" wytknięto, jest popieranie polskiej twórczości naukowej i artystycznej we wszystkich jej przejawach. Zadanie nadzwyczaj doniosłe a równocześnie odpowiedzialne i trudne. Jest ono tym trudniejsze, że Rzeczpospolita nasza po długich latach niewoli wchodziła w nowy byt państwowy w okresie wyniszczenia materialnego kraju i ogólnego obniżenia poziomu kulturalnego. Poziom ten był niski w porównaniu z naszymi ambicjami narodowymi i możliwościami tkwiącymi w naszym społeczeństwie, zwłaszcza, że na nowo spadł na nasze państwo obowiązek przodowania w szerzeniu kultury Zachodu i promieniowania wpływami cywilizacyjnymi na naszych północnych, wschodnich i południowych sąsiadów.

Chcąc spełnić to nasze dziejowe posłannictwo, przekazane nam przez przodków naszych, należało wprzód pomyśleć o nas samych. Rozbudowanej sieci szkół wyższych należało zapewnić przypływ i to silny należycie przygotowanego młodego narybku naukowego, należało szczególną pieczą otoczyć polską sztukę. Nigdy nie było u nas nadmiaru mecenasów nauki i sztuki, a w związku z ogólnym obniżeniem zamożności kraju typ t. zw. „prywatnego uczonego", tak dobrze znany na Zachodzie, u nas prawie nie istnieje. Troska czuwania nad zaspokojeniem zasadniczych potrzeb

(Dokończenie na str. V).

Przez cały tydzień zmieniał miejsce pobytu, unikając wsi, gdzie obecność obcego łatwiej zauważyć. Zgolił brodę, ucharakteryzował twarz, zakupił ubrania, wsiadł na pociąg i znalazł się w Lugdunie, nękany obawą, że wkrótce braknie mu pieniędzy.

Pewnego dnia, czytając gazety zwrócił uwagę na nagłówek tłustym drukiem: „Zmartwychwstały po dziesięciu latach zapomnienia".

To jego dotyczyło! Nie przejął się tym zbytnio. A nawet odczuł pewnego rodzaju ulgę, lecz natomiast nienawiść do Fairauda wybuchła z podwójną siłą.

— — — — — — —

Minęło już pół roku, odkąd Fairaud wydał władzom swego dziwnego gościa, gdy pewnego wieczoru, kiedy po męczącym dniu targu siedział sam przed kasą, zajęty rachunkami, otwarły się cicho oszklone drzwi wejściowe wiodące na korytarz. Czuł się bardzo znużony i zadrzemał trochę. Po tem zadźwięczał dzwonek od ulicy. Fairaud opuścił biurko zamknąwszy szufladę kasy, wszedł do korytarza, otworzył gościowi, który wracał do domu, oddał mu klucz pokoju i wrócił do zajęcia. W tej chwili usłyszał stukot: światło elektryczne zgasło. Po omacku szukał przełącznika usiłując napróżno go przekręcić; zapalił zapałkę i skierował się do szafy, by wyjąć stamtąd świecę. Usiadł napowrót pod szufladę biurka, gdy nagle zobaczył przed sobą dużą dłoń, która usunęła telefon spod zasięgu jego ręki. Odskoczył i ujrzał Robutarda:

— A więc tak dalece ufasz sobie i policji, że się nie lękasz tego, którego chciałeś zgubić? Kiedy ostatnim razem widziałeś mię w tej salce, przypomniałem ci starą historię nas obu. Od tego czasu rozważyłem wszystko i pomyślałem sobie, że nie możesz żyć tak dalej, tłusty, syty, spokojny, otoczony szacunkiem obywateli miasta. A nawet pomyślałem, że w ogóle nie powinieneś żyć dalej, inaczej powiedziawszy, że należy cię zgładzić... Nie potrzeba wołać... możemy wejść w układy, jeżeli jesteś rozsądny. Wiesz, że się nie lękam decyzji? Skoro już zabiłem poczciwego starca, któremu należała się ode mnie wdzięczność za dobrodziejstwa, to tym bardziej mogę sprzątnąć ze świata człowieka, który chciał mojej zguby, najpierw wykorzystał mnie, a teraz mnie zdradził. Sądzę więc, że pójdziesz po rozum do głowy

Grubas zapytał go:

— Ile chcesz?

— O, po prostu wszystkie te banknoty, które tu masz schowane. Zostawiam srebro i drobną monetę, aby się nie obciążać.

Zabrał pliki banknotów i mówił w dalszym ciągu.

— Naturalnie, nie daję pokwitowania. Naturalnie także, obiecujesz mi, że do jutra nie przedsięweźmiesz żadnych kroków, by mnie zaaresztować: zostaniesz grzecznie w domu, nie poślesz nikogo, by zaalarmował policję, nie będziesz telefonował.

Przeciął drut i dodał jeszcze:

— Ładna z ciebie kanalia! Ja jestem zbrodniarzem, lecz tobie zawdzięczam mój upadek. Byłem szczęśliwym dzieckiem, a ty mię zgubiłeś. Przez ciebie omal nie skończyłem na szafocie, przez ciebie umarła ze zmartwienia biedna moja matka, przez ciebie straciłem wszystko, wszystko! I jestem już tylko istotą bez duszy na świecie, istotą w której nie masz nic, prócz nienawiści do bliźniego. Oto, co uczyniłeś z małego Felisia! A ty żyjesz wciąż z obliczem zacnego człowieka! Trzeba za to zapłacić: zapłacisz mi teraz.

I nagle z rozmachem, wbił mu ostrze sztyletu między obie łopatki.

— — — — — — —

Skoro w trzy miesiące potem stanął znów przed trybunałem, nie lękał się już ludzi, a wymiar ich sprawiedliwości przestał go przejmować. Był w stanie spokojnego buntu i rozumował bez fanfaronady, bez wielkich słów, lodowaty i patrzący jasno... Zadziwiało to, że się dał wziąść tak łatwo, w pięć dni po swej zbrodni, w Tuluzie, gdzie zajechał do hotelu pod nazwiskiem Robutarda... Jak gdyby wyzywał sprawiedliwość! Zadziwiła jego dziwna odpowiedź, gdy się go spytano, co zrobił z zagrabionymi banknotami:

— Spaliłem wszystkie — odparł.

Zawsze powtarzał to samo, w tej kwestii jak i w innych. Jego adwokat błagał go, by uczynił cośkolwiek dla uniknięcia wyroku, który mu zagrażał... Wzruszał ramionami i uśmiechał się. W ten sposób znalazł się znowu w celi dla skazańców, którą poznał już przedtem, lecz teraz nie lękał się śmierci. Był już niczym innym, jak tylko nienawiścią do społeczeństwa, do życia do samego Boga.

Pewnego wieczora odgadł, że zbliża się jego koniec. Posiłek dostał lepszy, zażądał wina którego mu nie odmówiono, po czym znalazł w śmietanowym sosie bronzowe ziarenka. Odsunął je starannie i rzekł do stróża więziennego:

— Innym razem radzę je potłuc lub rozpuścić, jeśli nie są zbyt gorzkie... Mój kochany, ja snu nie potrzebuję. Ta noc jest moją ostatnią, wyobrażasz więc sobie, że się nie chcę położyć. Będę gotowy na jutro rano, proszę zostawić mi tylko zapaloną lampę.

Miał czas rozmyślać podczas ośmiu godzin, które mu jeszcze pozostały, przebiegł więc myślą ważniejsze wypadki swego życia i pogrążył się w uczuciu nienawiści, tej nienawiści która wysuszyła mu mózg i serce. Ale starannie omijał wspomnienie dobrej, ukochanej kobiety, którą swego czasu napełnił taką dumą z syna, a która potem umarła z jego winy ze zmartwienia. Lękał się tego cienia.

Szukał w myśli obelg, które będzie miotał, gdy przez otwarte okienko usłyszał jasne, krystaliczne dźwięki. Zasłuchał się tak bardzo, że aż oddech wstrzymał. Był to dzwonek z klasztoru Wizytek.

I zaraz ucichła w nim burza.

Był znowu małym dzieckiem, jak dawniej: stał na plaży przed pałacem z piasku, zalewanym falami. Przypływ posuwał się szybko i porwał go także Naokoło niego znikały czarne skały a niebawem ta woda taka czysta uniesie go ponad niezgłębione, okropne przepaście, a to nie będzie wcale straszne. Szpetność jego istnienia po zbrodni, rozproszyła się: wrócił do dawno minionych dni; budził się, gdy cienie pięknej, letniej nocy znikały, aby powtarzać lekcje, podczas gdy mama grzała w kuchni żelazko. Lata dzieciństwa przesuwały się przed nim, darząc go nagrodami pilności, pięknymi książkami w różnobarwnych oprawach ze złoconym brzegiem. Pachniało świeżym chlebem porannym i gorącym żelazkiem do prasowania. Mama całowała go. I całe życie było jeszcze przed nim, długie, piękne życie!

Zalał się łzami i klęknął, korząc się przed Bogiem.

W korytarzu słychać było stukot zbliżających się kroków.

——:o0o:——

„Fundusz Kultury Narodowej"

(Dokończenie ze str. IV).

kulturalnych naszego Państwa spadła na Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; przed nim jednak otwierał się taki las problemów — wśród których walka z analfabetyzmem wysuwała się na czoło — że mimo najlepszych chęci kierowników tego resortu, zagadnienie postępu naszej kultury naukowej i artystycznej musiało ustępować na plan dalszy. Zresztą kwestia przyspieszenia tempa rozbudowy naszej kultury naukowej była zanadto skomplikowaną, by ministerstwo oświaty, operujące z natury rzeczy metodami biurokratycznymi i dysponujące ograniczonymi funduszami, mogło objąć tutaj inicjatywę. W związku z tym zrodziła się koncepcja stworzenia Funduszu Kultury Narodowej, wyodrębnionego od ministerstwa oświecenia, pozostającego pod naczelnym przewodnictwem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej; wyłącznym zadaniem Funduszu miało być popieranie polskiej twórczości naukowej i artystycznej. Na dyrektora Funduszu Kultury Narodowej (F. K. N.), które to stanowisko piastuje od samego początku istnienia F. K. N. p. Stanisław Michalski, spadł odpowiedzialny trud ustalenia hierarchii potrzeb kulturalnych i umiejętnego dysponowania funduszami.

OPIEKA NAD MŁODYMI SIŁAMI.

Ustalając potrzeby nauki polskiej i mając na oku troskę o stały postęp kulturalny naszego społeczeństwa, Dyrekcja F. K. N. kładzie wielki nacisk na popieranie pracy badawczej sił młodych, rokujących nadzieje, iż w przyszłości wykształcą się na samodzielnych badaczy. Naturalnie, popieranie sił młodych, rokujących t. zw. „piękne nadzieje", jest bardzo ryzykowne; ileż bowiem „cudownych dzieci" okazuje się z czasem ludźmi mniej niż przeciętnymi! Trafnie też postąpiła Dyrekcja F. K. N., gdy począwszy od r. 1930 zaniechała udzielania stypendiów studentom uniwersytetów, a zastrzegła je jedynie dla dyplomantów, względnie przede wszystkim dla jednostek posiadających już tytuły naukowe, a przez to legitymujących się uznanymi przez władze uniwersyteckie kwalifikacjami do pracy badawczej. Tytuły naukowe są jednak tylko gwarancją czysto formalną; gwarancje poważniejsze dać może jedynie sumienna opinia tych, do których należy referat podania badacza, zabiegającego o zasiłek na studia naukowe czy też na druk pracy. Opinia taka nie może kierować się żadnymi względami ubocznymi; wydawana w poczuciu odpowiedzialności za zużywanie funduszów publicznych, ma się opierać nie tylko na ocenie zdolności danego kandydata, ale również cech jego charakteru i jego moralności. Dyrekcji F. K. N. trudno podejmować tego rodzaju oceny samodzielnie i jest zdana tutaj na tych, którzy wydają opinię o kandydacie. Na opiniodawców spada zatem wielka część odpowiedzialności za celowość gospodarki F. K. N.

W ostatnich czasach nieraz padały słowa krytyki co do celowości rozdziału funduszów F. K. N. Przedłożone przez Dyrekcję sprawozdania oraz ostatnio opublikowany Zarys działalności F. K. N. stwierdzają gołosłowność zarzutów, które najczęściej — jak to niestety nierzadko się zdarza — były „brane z powietrza".

Z przedłożonych sprawozdań wynika, że niemal wszystkie nasze ważniejsze wydawnictwa naukowe korzystały z subwencyj F. K. N., przy czym niektóre bez tych subwencyj nie mogłyby w ogóle ukazać się na półkach księgarskich. F. K. N. zawdzięcza nauka pojawienie się szeregu wysoko wartościowych dzieł naukowych, które w społeczeństwie naszym, ubogim i nie mającym jeszcze należytego zrozumienia dla wartości czystej nauki, nigdy nie znalazłyby nakładcy.

Ważniejszym jeszcze i bardziej odpowiedzialnym kierunkiem działalności F. K. N. jest bezpośrednie popieranie twórczości naukowej przez umożliwienie młodym badaczom pogłębianie swej wiedzy udzielanym przez F. K. N. stypendiom na studia krajowe lub zagraniczne, względnie przez udzielanie uczonym zasiłków na realizację pewnych konkretnych przedsięwzięć, przyczyniających się do pogłębienia i wzrostu kultury naszego Narodu.

POMYŚLNE WYNIKI.

Mimo wspomnianej już trudności, niemal ryzyka, przy ocenie czy dany kandydat rzeczywiście spełni nadzieje, jakie z nim są związane, czy przez swą samodzielną pracę na polu podniesienia naszej kultury spłaci dług zaciągnięty przez korzystanie z funduszów publicznych, stwierdzić należy, iż Dyrekcja F. K. N. może poszczycić się wynikami w pełni zadawalającymi. Spośród stypendystów F. K. N. przeszło 13.5 proc. zdobyło tytuł naukowy docenta, a 4.5 proc. objęło katedry w szkołach wyższych. Jeśli się zważy, że uzyskanie tytułu docenta wymaga szeregu lat wytężonej pracy, to przyczynienie się F. K. N. do wykształcenia w ciągu lat ośmiu 108 docentów i 36 profesorów — na ogólną cyfrę 816 stypendystów, należy uważać za wynik więcej niżeli pomyślny.

Stypendia były rozdawane w równej mierze pomiędzy badaczy z zakresu nauk ścisłych (nauki matematyczno-przyrodnicze i stosowane) oraz nauk humanistycznych. Zestawienie przeprowadzonych habilitacji wykazuje wśród stypendystów F. K. N. wyższy procent docentów nauk ścisłych niżeli humanistycznych (stosunek 68:40). Należy zaznaczyć, iż z zasiłku F. K. N. korzystały również wydawnictwa teologiczne.

Przy lekturze Zarysu działalności F. K. N. czytelnik pragnąłbym znaleźć zestawienie, jakie kwoty wyłożone zostały na subwencjonowanie wydawnictw ciągłych i druk dzieł naukowych, ile wydano na rozbudowę zakładów naukowych, ile wreszcie na stypendia roczne i zasiłki indywidualne. Cyfry te można uzyskać przez zestawienie poszczególnych pozycyj w trzech tomach sprawozdań, ale czytelnik jest wygodny i cyfry te chciałby mieć odrazu podane. Dyrekcja F. K. N. globalną cyfrę wydatków administracyjnych za lat ośm swej działalności — umieściła skromnie w przypisku na str. 7. A warto się nad tą pozycją zastanowić. Na koszty administracyjne zużyto zaledwie ponad półtora procent w stosunku do funduszów wyłożonych na popieranie nauki i sztuki; w ciągu ośmiu lat kierowania F. K. N. wydatkowano na cele administracji kwotę 200 tys. zł., t. j. właśnie tyle, ile w chwili zakładania F. K. N. preliminowano na jeden rck. Okazuje się zatem, że istnieje instytucja publiczna, umiejąca dzięki ofiarności w pracy do minimum zredukować wydatki administracyjne, które w innych instytucjach pochłaniają nieproporcjonalnie wielkie fundusze z uszczerbkiem celu, dla którego instytucje te zostały powołane.

Kończąc to omówienie działalności F. K. N. należy tylko życzyć, aby Dyrekcja F. K. N. mogła nadal rozwijać tak owocną jak dotąd pracę na polu popierania polskiej twórczości naukowej i artystycznej oraz, aby w najbliższej przyszłości powiększone zostały fundusze w proporcji do doniosłości problemu podniesienia naszej kultury narodowej jako czynnika potęgi mocarstwowej naszego Państwa. Historia nałożyła na nas obowiązek, aby Polskę uczynić nie tylko państwem żyjącym kulturą Zachodu, ale ją tworzącym i promieniującym na naszych bliższych i dalszych sąsiadów.

Advet.

Listy Cypriana Norwida do Bronisława Zaleskiego

Do druku podał Stanisław Pigoń

49. (Styczeń 1877)

Nie wiem nic o Twym zdrowiu; myślę, że siły religii pozwolą Ci znieść wielką klęskę. Sam z mniejszymi religijnymi zasobami zniosłem ich sporo i widziałeś nawet na cmentarzach, jak je znosiłem.

Odbieram list od Księcia treści zaprzecznej i wymawiającej się.

Jestem radykalnie zrujnowany, bo z wysileniami krok ważny zrobiwszy, naturalnie, że wszystko pęka.

Trzeba będzie ofnąć paki wysłane do Włoch, dwa razy zapłaciwszy, i samemu czekać pierwszego mrozu, aby mię odesłał do szpitalu. Jedyny wyraz zrozumialny! — Walka, życie i postęp zrozumiałymi nie są, — szpital tylko! Zresztą i to jest także jakiś tam rodzaj chrystianizmu!...

Widząc to, na wszelki wypadek piszę do paryskich uczonych, aby przez swe stosunki wyjednali mi miejsce d'un garçon de bureau au Ministère de l'Instruction ou de celui des Beaux Arts, — i są tak łaskawi, że to zrobią. A wtedy Polskę, literaturę, sztukę i wszystko rzucę, bo wyraźnie że nie warto. Chciałem się ratować, ale nie warto. Nie ma dla kogo.

1877. Cyprian Norwid

Historia dziś jest tak drobiazgowa, że i to oceni i powie wartość tego, co robiłem.

Licząc na pożyczkę od księcia Wł. Czartoryskiego, Norwid w styczniu 1877 r. przygotował się na dobre do wyjazdu i książki swej wysłał przodem do Rzymu. Pożyczka ostatecznie nie doszła do skutku, co poetę postawiło w ciężkim położeniu (zob. „Z koresp. C. Norwida: Listy do Czartoryskich", s. 19 n.).

50. (Luty 1877)

Mój drogi!

Ja nie mieszkam rue de Chaiillot, ale rue du Chevaleret 119, — już sporo dni. Walczyłem do ostatka i nadużyłem środków, planów, sił, nerwów, czasu, finansów — musiałem kapitulować; zdrowie, środki, wszystko nakazało. Jak po deszczu nawalnym w Rzymie, dla nierówności dachów i różności achitektury uważałem był, że najmniej pół godziny jeszcze deszcz nawalny ścieka, tak i mnie po tym wszystkim jeszcze na łeb lecą resztki niekonsekwencyj.

Pod jedną z tych dziś, jutro, teraz zostawam: paki moje wracają, — mam do płacenia.

Mam na to w papierkach takich jak tu załączony niespracowanego Kraszewskiego, mam takich papierków na osiem razy tyle, ile mi trzeba, ale naucz mię, jak postępować? Jak przesłać autograf? Czy koniecznie trzeba, nawet zredukowawszy całą swą działalność i życie do kąta w szpitalu, jeszcze być bogatym-żebrakiem?

Boć tylko niesumienna nieakuratność tych panów każe sobie i innych nadużywać.

Od dnia, w którym ten autograf nakreślony do dziś dziesięć razy tyle wydałem i jeszcze jestem w resztce kłopotów.

Jak ci ludzie pojmują życie? Doprawdy, że gniew Boży nad takim działaniem.

C. N.

Zapewne cię doszło, że zdaliśmy rachunki z loterii i że uczyniła 5.000 bez kilku franków.

Głowę mam złamaną.

Trzeba być dzieckiem, aby myśleć, że ruch rewolucyjny w Peterburgu jest komuną. Tam komuna nie ma nic do wywalczania. Jest ateistyczny ale nie komuna.

Przy ul. Chevaleret nr 119 mieścił się Zakład św. Kazimierza, t. zn. przytułek dla starców z emigracji polskiej. Norwid został tam przyjęty dnia 8 lutego 1877 r. (Krechowiecki II. 295). List powyższy zatem z drugiej połowy tego miesiąca. — „Papierek" Kraszewskiego dotyczy reszty honorarium należnego od Lewentala za „Odyseję" (zob. nr ...). — W związku z toczącą się wojną turecką w Rosji ujawnił się silniej ruch socjalistyczny. W grudniu 1876 r. odbyła się w Petersburgu wielka manifestacja pod hasłem „ziemia i wolność", o czym pisał „Czas" nr. 295 t. r. W ciągu stycznia przeprowadzono i w innych miastach liczne aresztowania młodzieży radykalnej. „Czas" wszystkich ich zaliczył do „pionierów nihilizmu" (nr 13 z 18. I. 1877). Norwid występuje przeciwko tej generalizacji; niebawem poświęci tej sprawie cały list.

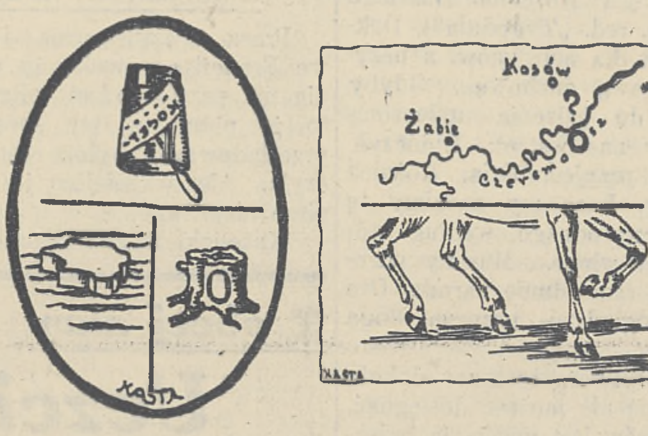
Rozrywki umysłowe Nr 31/70

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

IV Konkurs (dokończenie)

ZAD. 17 — FIGIELKI REBUSOWE

uł. „Kasta" — czł. Kl. Szar



ZAD. 18. — SZARADA — CHYLĄ SIĘ ŁANY ZŁOCISTE

uł. „Rex" — czł. Kl. Szar.

Słońce ze snu krótkiego do życia powstało
bez **trzynaście-drugiego** za wczorajszym dzionkiem,
nim zaś w **siódmej-dziesiątej** przejrzyć się zdołało,
powitał je skowronek swym srebrzystym dzwonkiem.

Życiem tętniącą glebę srebrzyste promienie
wspak jedenaście-siedem-osiem z dziesięcioma,
a zboża, pochylając swych kłosów brzemienie,
zda się w oczach **sześć-siedem-osiem** wraz z **trzecioma**:

Pieści słonko złociste **dwunaste-trzynaste**,
raz-dwa-dziesięć czwór-piąte niby złote morze...
Wzniosą żeńcy z piosenką zbóż sterty kopiaste.
wysokie jak **wspak szósta-czwarta**, w ciemnym borze!

Jak **raz-pół dwa- i piąte** koniki wesołe,
nie *)**tuzin-trój z dziesiątym** się wychynąć z żyta, —
z ptaszęcym świergotliwym chóralnym zespołem,
dziękczynną pieśń zanoszą za wielki cud życia...

*) bez pierwszej litery.

ZAD. 19. — LOGOGRYF.

uł. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Znaleźć 21 wyrazów 3-literowych, których litery początkowe i końcowe, czytane w kolejności z góry na dół i z dołu do góry, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Król po frn. 2) Epoka, 3) rodzaj miary, 4) miara powierzch., 5) pytajnik, 6) pierwiastek chem., 7) parów, 8) rodzaj papugi, l. mn., 9) członek partii postępowej w Anglii, wspak, 10) inaczej kłamie, 11) przedsionek piekieł, 12) drobna moneta franc., 13) miasto w Wirtembergii, 14) jeden z marszałków Napol., 15) sztuka w języku martwym, 16) inaczej kopał, grzebał, 17) zaimek, 18) rodzaj paszportu, wspak, 19) inaczej rozum po staropol. l. mn., 20) książę po franc., 21) wiatr bijący prosto w żagle, wspak.

ZAD. 20. — TRZY SZARADKI

uł. „Anerg", czł. Kl. Szar.

I.

Trzyma **całą druga-trzecia**,
by ją woda nie uniosła.
Strzeże na niej zboża dzieciak
Raz-trzeciego, dzierżąc wiosła.

II.

Jakie tam do **raz-trzeciego**,
piękne **to raz-drugie** konie,
które **całą** pana swego
ciągną lekko tam na błonie.

III.

Siedmpałkowy pierwszy-trzeci
rauty daje **raz-dwa** wspaniałe.
A potem biedaka (czy wiecie?)
chleb suchy zajada i **cały**.

Na tem kończymy nasz konkurs IV, rozwiązanie zadań, którego nadsyłać można do 15 sierpnia, ważna data stempla pocztowego, pod adresem redakcji „Głosu Narodu", dla kierowniczki Działu Rozrywek Umysłowych.

Kupon Nr. 31/70

ważny do dnia 15 sierpnia 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

„Merkurjusz Polski", warszawski tygodnik o zabarwieniu faszystowsko-hitlerowskim, „przestrzega" katolików w Polsce przed stawianiem hitleryzmu z bolszewizmem na jednym poziomie w sprawach stosunku do religii. Bo — powiada — w Niemczech jeszcze Msza św. się odprawia, a w Rosji — nie.

Nie bardzo nam ten argument przemawia do przekonania. Są różnice między hitleryzmem a bolszewizmem także w stosunku do religii. Ale, czy tak wielkie, żeby nie wolno było stawiać tych dwóch kierunków na jednym poziomie? Nie sądzę, — zwłaszcza, gdy się zwróci uwagę na to, że Ojciec św. w jednym miesiącu (w marcu bież. roku) równocześnie potępił tak komunistyczną, jak hitlerowską politykę wyznaniową, a świeżo kard. Pacelli w liście do prezesa francuskich „Semaines sociales", prof. Duthoit, na jednym poziomie stawia Rosję Sowiecką z III Rzeszą, gdy chodzi o stosunek państwa do katolickiego pojęcia „jednostka ludzka".

Zresztą fakty mówią, że w III Rzeszy mamy do czynienia z wybuchem autentycznego pogaństwa i wojującej niewiary.

AUTENTYCZNE POGAŃSTWO.

„Deutsche Apotheker-Zeitung" (Berlin) podaje bardzo znamienne wyznanie wiary radcy stanu, W. Börgera, wygłoszone na jakimś „kulturalnym" zebraniu.

„Dwa są — mówił p. Börger — zasadnicze światopoglądy, które sie nawzajem wykluczają. Jeden to teoria grzechu pierworodnego. Teoria ta została nam przyniesiona z Azji przez półmurzyna (?) Augustyna (Wielkiego Ojca Kościoła, zmarłego w 430 r. — przyp. red. „Tygodnia"). Doktryna ta jest dobra dla murzynów, a uczyniono ją naszą strawą duchową... Gdyby nam ktoś podał do jedzenia upieczoną mysz, obudziłby w nas wstręt; Chińczyk natomiast zje ją z przyjemnością. Różnica ta wynika z rasy. Lecz my znosimy tę teorię grzechu pierworodnego, według której nasze ciało jest winne... Musimy odrodzić w sobie dumę rasy, dumę narodu. Oto jest nasz światopogląd: — prawem Boga jest rasa, jest krew.

Obce poglądy wytworzyły mury dokoła Boga tak, że go już nie możesz dosięgnąć. Jednym z tych murów jest uważanie śmierci za przygotowanie do szczęścia. Jest to jednak apel do egoizmu, do bojaźni. Bojaźń śmierci sprawia, że w narodzie zanika poczucie wspólnoty. Nie ma żadnej odpowiedzi na pytanie: co będzie po mej śmierci? Jest wiele pytań, na które nie ma odpowiedzi. Według naszego światopoglądu powinniśmy pytać: co będzie po mej śmierci z Niemcami? Bo nie ja jestem ośrodkiem myśli, ale wspólnota narodowa. Myśl o tej wspólnocie nie pozwala na bojaźń śmierci. Jeśliśmy pracowali dla naszego narodu szczerze i dzielnie, ostatnia godzina, gdy wybije, zastanie nas spokojnymi."

TREŚĆ I FORMA.

Przytoczyliśmy to ciekawe „credo", bo jest znamienne... Zbadane od strony treści, którą zawiera, nie jest czym innym, jak pogaństwem. Wprawdzie jest w nim mowa o Bogu, ale ten „Bóg" nic nie ma wspólnego z Bogiem Ewangelii, który jest Sędzią człowieka. Jest pogaństwem także w tym ustępie, który dotyczy „ciała". Ustęp ten nie oddaje właściwej nauki Kościoła o grzechu pierworodnym; nie ciało jest — według niej — winne, ale człowiek, obdarzony władzami umysłowymi.

Zbadane zaś to „credo" z psychologicznego punktu widzenia dowodzi, że p. W. Börger sam ulega obawie przed śmiercią. Im więcej słów traci na zapewnienie, że się nie boi, tym mniej mu wierzymy. Niepokój objawia się w wielomówstwie...

Całe „credo" świadczy o wielkim prymitywizmie życia duchowego p. Börgera. Któryż rozsądny człowiek tak łatwo skapituluje przed zagadką śmierci i powie, że na to pytanie „nie ma żadnej odpowiedzi"?

Kto mówi, że nie ma odpowiedzi na to pytanie, ten odrzuca całe chrześcijaństwo, bo wiara w życie pozagrobowe przepaja je całe... A tak mówi nie tylko p. Börger. Tak mówi większość prasy hitlerowskiej. Znane pismo „Durchbruch" pisało w polemice z Papieżem: „Nie przywiązujemy żadnej wartości do pojęcia „chrześcijańskiej śmierci" i do „odpuszczenia grzechów". Niemiec, który wierzy w Boga, nie grzeszy, a odpuszczenie grzechów jest mu rzeczą obojętną"... Tak wygląda to „pozytywne chrześcijaństwo", które III Rzesza miała zrealizować.

WIĘZIENIE I ŚMIERĆ.

W ostatnim czasie mnożą się aresztowania księży i zakonników, lub zsyłanie ich do obozów koncentracyjnych. Tu bardzo często „przepadają"... Jak? Poucza niedawny „wypadek" proboszcza z Brandenburga, ks. Schuberta.

Został oskarżony o obrazę władz państwa której się miał dopuścić na kazaniu. W czasie aresztu śledczego „popełnił — ogłoszono oficjalnie — samobójstwo; stróż więzienia znalazł go rano z przestrzeloną skronią, obok tapczanu był browning".

Oczywiście nie należy z góry wykluczać samobójstwa. Niemieckie więzienie nie jest podobnym do polskiego, do którego przestępcy tęsknią. Łatwo popaść w rozstrój nerwowy. Zwłaszcza podczas śledztwa. Nerwy ludzkie też mają swe granice wytrzymałości. Ale w wypadku ks. Schuberta samobójstwo było wykluczone. W areszcie był zaledwie parę dni. Jeśli nie samobójstwo, to — co? Odpowiedź daje ten browning, który miał leżeć obok tapczanu. Odkądże to władze więzienne w Niemczech pozwalają aresztantom na noszenie broni?

Wielkie wrażenie zrobiło aresztowanie w okolicy Fryburga jednego z najznakomitszych teologów współczesnej doby, ks. dr Józefa Schmidlina, wybitnego misjologa i etnologa. Także z powodu „obrazy władz".

PRZEŚLADOWANIE W MEKSYKU.

Prasa socjalistyczna i komunistyczna we Francji zapewnia, że w Meksyku „już nie ma prześladowań religii"... Mniejsza o to, że pisząc w ten sposób stwierdza, iż prześladowanie było, czemu dotąd przeczyła. Ale ważniejsze jest to, że i teraz pisze nieprawdę.

Katolicki tygodnik meksykański, „La Lucha" (Walka), wychodzący w Stanach Zjednoczonych, cały numer poświęca wyliczeniu wszystkich najnowszych objawów prześladowania. Po przytoczeniu mnóstwa cyfr, nazwisk i dat, oświadcza:

„1) Kościołowi zabrano niezliczoną moc kościołów, klasztorów, seminariów i dotąd nie zwrócono.

2) Liczba księży, którym wolno spełniać duszpasterskie obowiązki, jest grubo mniejsza w stosunku do faktycznych potrzeb duchowych ludności katolickiej.

3) Wszystkie seminaria, zakłady wychowawcze, nowicjaty i instytucje religijne są ciągle zamknięte.

4) Władze nie pozwalają na żadne zgromadzenia religijne.

5) W szkołach państwowych, do których katolicy muszą posyłać swe dzieci, nie ma nauki religii, a wykłada się „moralność" materialistyczną i marksowską.

6) Katolicy są przedmiotem prześladowań tylko z powodu swych religijnych przekonań i są uważani za element niebezpieczny dla państwa."

Wymowa tych prostych stwierdzeń jest jasna. Kościół w Meksyku jest dalej prześladowany. Nie wprowadza się tam wprawdzie nowych ustaw antykatolickich, ale dawniejsze stosuje się bez pardonu. **Pejot.**

Katolicka akcja filmowa

Pod wpływem encykliki papieskiej „Vigilanti cura" sfery katolickie zaczynają wywierać wpływ w dziedzinie nowoczesnej kinematografii i to głównie w dwóch kierunkach: 1. przez podniesienie moralnej wartości filmów; 2. wyzyskanie filmu dla celów nowoczesnego apostolstwa.

O. van Schalen, kierownik działu propagandy przy Katolickiej Centrali Filmowej w Holandii podaje w „Maasbode" szereg danych statystycznych z tych krajów, w których działalność katolików w sprawach filmu wchodzi w ostatnich czasach na nowe tory. Okazuje się np., że po drugiej stronie oceanu, zwłaszcza w Kanadzie i Urugwaju katolicka akcja filmowa zaczyna ostatnio zdobywać poważne sukcesy.

W Kanadzie państwo zostawiało dotych czas prywatnym producentom filmowym całkowitą swobodę, jednak ostatnio zmuszone było zaprowadzić obostrzenia cenzury filmowej. Ponadto **rząd kanadyjski zabrania importu wszelkich obrazów produkcji bolszewickiej.** W ostatnich miesiącach poziom moralny produkcji filmowej w tym kraju znacznie się podniósł, co ogólnie przypisuje się wpływowi, który na sąsiadącą ze Stanami Zjednoczonymi Kanadę wywiera katolicka organizacja, czuwająca nad moralnością filmową tzw. „Legion Przyzwoitości" (Legion of Decency). W Quebec powstała specjalna katolicka organizacja dla spraw kinematografii, współpracująca z lokalnymi oddziałami Akcji Katolickiej. Trzy wielkie dzienniki katolickie wychodzące w Kanadzie w języku francuskim stale zamieszczają specjalne rubryki, zawierające ocenę filmów.

W Urugwaju katolicy już dziś biorą wybitny udział w akcji filmowej. W kraju tym kino odgrywa olbrzymią rolę: w stolicy w Montevideo jest czynnych aż 250 sal kinowych, do których wszystkie wielkie wytwórnie, jak Paramount, Century Fox, United Artists, Metro Goldwyn, British Aliance, Pathé, Universal dostarczają obrazów. W jednym tylko roku 1936 w Montevideo przeszło przez ekran 370 obrazów filmowych. Z tej liczby katolicka cenzura filmowa, silnie zorganizowana i niezależna od wpływów merkantylnych, uznała za dopuszczalne pod względem moralnym tylko 70 obrazów. Stąd widać, że szerokie pole do pracy mają jeszcze na tym terenie katolicy. Katolicki dziennik, wychodzący w Montevideo „El bien publico" prowadzi usilną kampanię przeciwko nieuczciwym producentom filmowym, chcącym zarobić przez schlebianie najniższym instynktom tłumu. Tygodnik katolicki „El amigo del Obrero" zamieszcza stale oceny bieżących filmów, informując, jakie obrazy zasługują na poparcie. Poza tym Akcja Katolicka w Urugwaju rozsyła systematycznie specjalne biuletyny do wszystkich parafij o wartości wyświetlanych filmów.

Z krajów europejskich katolicka cenzura filmowa została zorganizowana na nowych podstawach m. in. w Irlandii, Czechosłowacji i na Węgrzech. W Wolnym Państwie Irlandzkim rząd współdziała pod tym względem z organizacjami katolickimi. Istnieje specjalna komisja, mianowana przez ministerstwo sprawiedliwości dla oceny filmów, do której wchodzi z ramienia Kościoła dwóch przedstawicieli, poza tym jeden profesor uniwersytetu, dwóch autorów dramatycznych, architekt, lekarz i przedstawiciel senatu. W Irlandii nie wolno wyświetlać żadnych obrazów o treści awanturniczej, dziejów zbrodni, przygód bandytów tzw. gangsterów itp. Do jakiego stopnia wpływ kina wzrasta w Irlandii, wskazują cyfry: w ciągu ubiegłego roku sprzedano przeszło 18 milionów biletów wstępu na widowiska filmowe.

W Czechosłowacji istnieje około 490 sal kinowych, w tym 32 kontrolowanych wyłącznie przez katolików. Uchwałą Synodu z r. 1935 została utworzona „Katolicka Centrala Kinematografii", w której skład wchodzi szereg sekcji, zajmujących się m. in. organizacją apostolstwa za pomocą filmu, badaniem wpływu, jaki wywiera film na młodzież, cenzurą filmów ze stanowiska moralności chrześcijańskiej. Od roku 1934 wychodzi w Czechosłowacji **specjalny katolicki biuletyn filmowy,** zawierający ocenę wyświetlanych filmów.

Na Węgrzech samo państwo czuwa nad moralnością filmową. Do państwowej komisji cenzury filmowej wchodzi z urzędu przedstawiciel Kościoła, zazwyczaj jeden z profesorów fakultetu teologicznego w Budapeszcie. Istnieją na Węgrzech specjalne kina, prowadzone przez OO. Dominikanów, poświęcone dziełu apostolstwa. Stowarzyszenie katolickich dziennikarzy „Pazmanyana" zamieszcza systematycznie w znanych czasopismach jak „Katholiku Szemk", „Magyar Kultura" i „Elet" stałe rubryki z recenzjami bieżących filmów. Co roku na Węgrzech wyświetla się około 4—5 obrazów o treści religijnej, posiadających przy tym nieprzeciętne walory artystyczne.

Kreśląc zarys katolickiej działalności filmowej w tych kilku krajach w dzienniku „Maasbode", słusznie O. van Schelen zaznacza, że „metody używane przez katolickich cenzorów przy ocenie filmów stale są doskonalone, przez to, że kładą nacisk nie tylko na wartości moralne, ale i artystyczne filmu. W wielu krajach zaczyna się utrwalać pogląd, że oglądanie filmu, aprobowanego przez opinię katolicką, nie tylko kształci sumienie, ale i zadawalnia w pełni poczucie piękna."

Z obcej niwy

Uczciwość, czy bunt?

„Oddajcie państwu, co należy do państwa, a Bogu i Kościołowi, co należy do Boga i Kościoła".

Tę zasadę, tak bardzo dziś aktualną w dobie zmagań różnych wadliwych doktryn społecznych z Kościołem rozwinął w swym ostatnim przemówieniu kardynał Faulhaber z Monachium. Przemówienie to podaje w całości „Osservatore Romano" z dnia 21 bm.

Kardynał Faulhaber, przemawiając w katedrze monachijskiej, wystąpił w obronie zaaresztowanego przez policję ojca Mayera T. J. znanego w całych Niemczech bohaterskiego inwalidy w czasów wojny światowej i gorącego patrioty. Właśnie w takiego człowieka uderzył reżim „Nazich", najpierw broniąc mu wygłaszać kazania, a wreszcie pozbawiając go wolności. Jako biskup i przełożony ojca Mayera kardynał Faulhaber wystąpił publicznie z ambony w jego obronie, poruszając przy tym zasadniczy problem wolności spełniania urzędu pasterskiego i nauczycielskiego przez kapłanów katolickich zgodnie z brzmieniem konkordatu.

Ponieważ tezy, jakie przy tym wysunął kardynał monachijski, mają znaczenie zasadnicze w taktyce katolików wobec państwa, więc — jak zaznacza „Osservatore" — wskazanym jest, aby i poza granicami Niemiec te tezy były znane.

A więc, przede wszystkim, co uderza słuchacza w przemówieniu kardynała Faulhabera — to niezwykła odwaga w głoszeniu zasad Kościoła, ale pozbawiona wszelkiego pierwiastka zdenerwowania, czy też buntu. Kardynał nawołuje wiernych, aby stali wytrwale przy Kościele, ale jednocześnie zaleca im, aby powstrzymali się od wszelkich demonstracji, noszących cechy buntu, gwałtu, czy anarchii. Przypominając słowa ojca Mayera, który w tym samym duchu przemawiał, kardynał Faulhaber wysuwa taką zasadę w walce z wrogami Kościoła:

„My katolicy nie pozwolimy osłabnąć naszym uczuciom wobec ojczyzny, której zawsze chcemy wiernie służyć — i dlatego odrzucamy wszelkie formy obrony czy walki, które nosiłyby charakter jawnego buntu przeciwko prawowitej władzy państwowej... Przez to, że katolicy pozostają wierni Kościołowi, dają największą gwarancję, że chcą być wiernymi i lojalnymi obywatelami państwa, bo jakże mógłby człowiek dochować wiary ludzkim prawodawcom, jeżeli wyłamuje się spod praw Bożych?..."

Następnie kardynał Faulhaber mówił o aktualnej również w różnych państwach kwestii, o t. zw. „mieszaniu się duchowieństwa do polityki". Zachodzi pod tym względem często dziwne nieporozumienie, gdy przeciwnicy Kościoła usiłują błędnie interpretować wystąpienia kapłanów, przemawiających o sprawach społecznych w oświetleniu nauki katolickiej, jako wystąpienia „polityczne'. Kardynał zwraca uwagę, że do art. 32 konkordatu, zawartego między Stolicą Apostolską a rządem Rzeszy, został dodany specjalny komentarz, w którym znajduje się wyraźne zastrzeżenie, iż

„zakaz mieszania się do polityki ze strony kapłanów nie oznacza bynajmniej ograniczenia w nauczaniu kościelnym czy to w kwestiach dogmatyczych, moralnych czy społecznych zgodnie z doktryną katolicką".

Ci, którzy chcieliby odsunąć kapłanów od tego obowiązku, nie zdają sobie może sprawy, że tym samym żądają od kapłanów, aby wyzbyli się swego właściwego posłannictwa. Ci, którzy głoszą banalny komunał, że „księża nie powinni się wtrącać do polityki", nie chcą zrozumieć, iż duszpasterze nie mogą milczeć, gdy widzą, że powierzone ich pieczy dusze ludzkie idą na lep wrogich Kościołowi doktryn społecznych.

Wreszcie kardynał Faulhaber nawołuje wiernych, aby w godzinach doświadczeń umieli wyzbyć się małoduszności i unikali kompromisów, niegodnych miana chrześcijanina.

„Pomóżmy nieść krzyż naszemu Boskiemu Mistrzowi — wołał kardynał Faulhaber... — W prześladowaniach okazuje się wartość chrześcijan. Nadchodzi godzina decydująca, godzina wyboru!... Już idą na cały kraj oficjalne statystyki, w których rząd stawia obywatelom pytanie: czy jesteś tylko wierzącym w Boga (Gottglaubig) czy też jesteś chrześcijaninem? Wiadomo, co znaczy takie pytanie... Miejcie się na baczności, aby się nie zaprzeć Chrystusa... Nadchodzi czas wyznania wiary, gdy każdy z nas, kto chce wytrwać aż do końca, będzie musiał powiedzieć: Tak! wierzę w Boga w Trójcy Jedynego! wierzę w Jezusa Chrystusa Syna Bożego. Wierzę w Święty Kościół Powszechny, Kościół katolicki. A więc jestem chrześcijaninem i katolikiem". (KAP).